

Anna Wasak, Robert Mazurek

Radzyń Podlaski

Radzyńskie Spotkania z Podróżnikami. Cz. 8

Gośćmi „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” w siódmym sezonie cyklu byli: Marek Niedźwiecki – dziennikarz muzyczny i autor książki „Australijczyk”, Aleksandra i Karol Lewandowscy – autorzy projektu „Busem Przez Świat”, Monika Radzikowska – autorka bloga „W plecaku niesione. Historie zbierane po drodze” oraz książki „Bajkał tam i z powrotem”, a także Robert Makłowicz – dziennikarz, podróżnik, autor książek i programów telewizyjnych o tematyce kulinarnej, kulturowej i historycznej. Ponadto nasze miasto odwiedziła Anna Kamińska, tym razem nie podróżniczka, ale autorka książki o wyjątkowej podróżniczce i himalaistce, Wandzie Rutkiewicz.

Marek Niedźwiecki to jeden z najwspanialszych głosów w historii polskiego radia, związany z radiową „Trójką” dziennikarz muzyczny, pomysłodawca Listy Przebojów, którą też od 1982 r. (z krótką przerwą) prowadzi. Poza tym – wielbiciel podróży, szczególnie – Australii. Trudno się dziwić, że podczas radzyńskiego spotkania te dwa wątki – muzyczny i podróżniczy – ściśle się ze sobą splatały.

Aleksandra i Karol Lewandowscy są blogerami podróżniczymi, którzy od 8 lat podróżują po świecie starym kolorowym busikiem. W Radzynie opowiedzieli o swej wyprawie na Alaskę i do Kanady, które zwiedzili w 2017 r. Był to pierwszy etap ich 5-letniego projektu pn. „Busem przez 3 Ameryki”.

W drugiej połowie 2018 r. odbyło się spotkanie z Anną Kamińską, autorką książki „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci. Historia Wandy Rutkiewicz”. Pretekstem do zaproszenia do Radzyna pisarki była 40. rocznica zdobycia przez himalaistkę najwyższej góry na Ziemi – Mount Everestu. W tym samym dniu – 16 października 1978 r. Karol Wojtyła został wybrany na Stolicę Piotrową. Sam to skomentował w słowach skierowanych do Wandy Rutkiewicz podczas I papieskiej pielgrzymki do Polski: „Dobry Bóg tak chciał, że tego samego dnia weszliśmy tak wysoko”.

Rok 2019 rozpoczęliśmy z Moniką Radzikowską, która obok spotkania pt. „Bajkał tam i z powrotem” poprowadziła warsztaty dla dzieci pt. „Zrozumieć świat”. Podróżniczka zaprosiła najmłodszych w różne miejsca, na różne kontynenty: na krótki pobyt wśród Indian w Ameryce Północnej, na Islandię, Bliski Wschód i na Syberię.

Przed wakacjami odwiedził nas Robert Makłowicz, który wiedział o serze ze Spomleku, ale nie wiedziałem, że w Radzyniu jest taki okazały pałac. Zadeklarował też, że już teraz będzie musiał tu przyjeżdżać. Spotkaniu towarzyszyła wspaniała atmosfera – swobodna, pełna humoru, a gość pięknym językiem opowiadał o potrawach, historii, kulturze, w zaskakujący sposób puentował swoje wypowiedzi.

„Radzyńskie Spotkania z Podróżnikami” już dawno zapewniły sobie poczytne miejsce w kulturalno-towarzyskim życiu Radzyna. Dlatego warto do tych spotkań wracać, warto je utrwać na łamach „Radzyńskiego Rocznika Humanistycznego”.



Fot. Andrzej Świetlik

Marek Niedźwiecki – urodził się 24 marca 1954 r. w Sieradzu. Dziennikarz muzyczny, jeden z najwspanialszych głosów w historii polskiego radia, twórca Listy Przebojów Programu III. Samotnik, podróżnik, wieczny prowincjusz.

Większość lat dziecięcych Marek Niedźwiecki spędził w Szadku. W 1973 r. ukończył II LO w Zduńskiej Woli, natomiast w 1979 r. studia na Wydziale Budownictwa Łódzkiej Politechniki. Podczas studiów pierwszy raz zasiada za mikrofonem radiowym studenckiej rozgłośni „Żak”.

Słuchacze poznali Marka Niedźwieckiego w roli prowadzącego Listę Przebojów Programu III Polskiego Radia, którą prowadził nieustannie w latach 1982-2007. Marek Niedźwiecki był również pomysłodawcą trójkowej listy przebojów pod nazwą „Top Wszech Czasów”.

W 2007 r. przeszedł do Radia Złote Przeboje, na którego antenie prowadził trzy audycje: „Złote, słodsze, najśodsze”, „Lista Przebojów Marka Niedźwieckiego” oraz „Top Wszech Czasów”. W 2010 r. powrócił na antenę Trójki, gdzie pracuje do dziś.

Mimo że nie wyobraża sobie, by na stałe wyjechać z Polski, trudno mu żyć bez corocznych długich wypadów na „koniec świata”. Marek Niedźwiecki fotografuje Australię od dwudziestu lat, zjechał ten nadzwyczajny kontynent wzdłuż i wszerz. Mieszkał w wiosce wielorybników, wspinał się na drzewa giganty, stawał twarzą w twarz z ospałym misiem koala i oko w oko ze śmiertelnie jadowitym wężem brązowym. Spacerował po Sydney, Melbourne, Perth, Darwin, Hobart. Zasnął podczas przechadzki dwukilometrowym moło. Nie wszedł na górę Kościuszki, czego się trochę wstydi i na Ayers Rock, z czego jest dumny. Stał się miłośnikiem australijskiego wina, australijskiego miodu, australijskich ryb i australijskiego sposobu skracania słów... Stał się po części – „Australijczykiem”. Taki też tytuł nosi jego ostatnia książka, która w 2015 r. ukazała się nakładem Wydawnictwa Wielka Litera.

Australia smakuje jak mango, pachnie eukaliptusem, brzmi jak cykadady

Kolejny podróżnik przybył do Radzyna, odsłonił swoją tabliczkę i spotkał się z mieszkańcami miasta. Tym razem był to Marek Niedźwiecki – jeden z najwspanialszych głosów w historii polskiego radia, związany z radiową „Trójką” dziennikarz muzyczny, pomysłodawca Listy Przebojów, którą też od 1982 r. (z krótką przerwą) prowadzi. Poza tym – wielbiciel podróży, szczególnie – Australii. Trudno się dziwić, że w spotkaniu te dwa wątki – muzyczny i podróżniczy – ściśle się ze sobą spletały.

„Niedźwiedź” odsłonił swoją łapę

25. edycja „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” odbyła się w niedzielę 23 września. Przy odsłanianiu tabliczki goście asystowali Robert Mazurek oraz Jacek i Jakub Płecha – fani i znajomi Marka Niedźwieckiego, których ciekawe opowieści o Radzynie sprawiły, że dziennikarz i globtroter przyjechał do naszego miasta. – „Niedźwiedź” odsłonił swoją łapę w Radzynie – skomentował Robert Mazurek. – To miłe – nigdzie jeszcze tego nie robiłem – odpowiedział Marek Niedźwiecki. W imieniu Burmistrza Jerzego Rębka wiceburmistrz Tomasz Stephan wręczył gościowi pamiątkowy medal „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”.

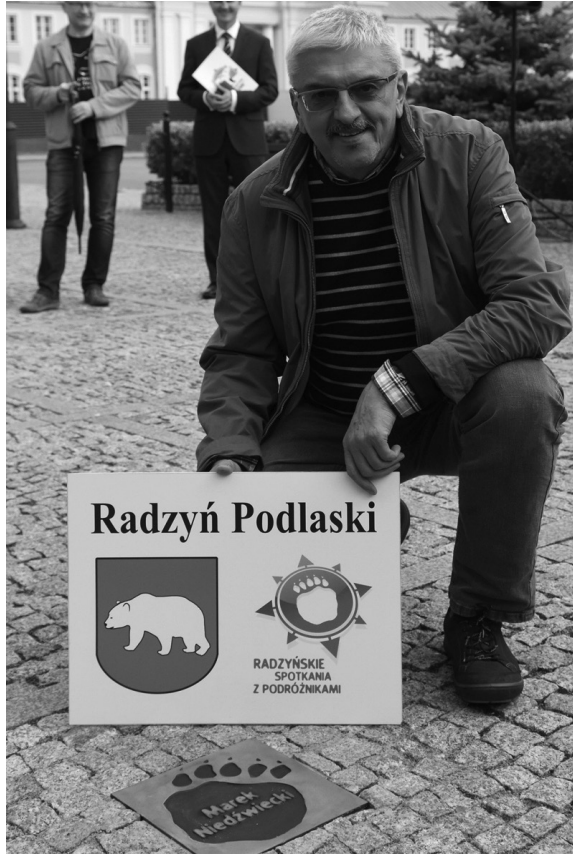
Australijska lista przebojów

Okazję do dłuższej rozmowy dało spotkanie w Oranżerii. Poprowadził je w formie wywiadu Robert Mazurek, ale – jak podkreślił – pytania zadawali radzynieanie za pośrednictwem fejsbukowych profili „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” i „Kocham Radzyń Podlaski”.

Na początku Marek Niedźwiecki odpowiadał na pytania internauty, jak smakuje, pachnie i brzmi Australia. – Australia smakuje jak mango, które tu jest najlepsze na świecie, bo dojrzewa w pełnym słońcu. Ma wspaniały zapach eukaliptusa, dla którego lubię latać do Australii. Rozbrzmiewa cykadami i papugami kukaburami, które strasznie wrzeszczą. To niesamowite, jak potrafią wyprowadzić z równowagi!

Jeśli chodzi o australijskie smaki, to dziennikarz rozwodził się również nad winem australijskim, które uznał za najlepsze na świecie...

Pytany o „listę australijskich przebojów” – miejsca, które warto zobaczyć – stwierdził, że powinna być bardzo długa. Wymienił Sydney, Melbourne, Tasmanię, parki narodowe i zachodnią Australię. Mówił o swojej fascynacji Nową Zelandią: – Myślałem, że to są dwie nudne wyspy, a udało mi się tam przeżyć cudowne przygody...



Fot. Tomasz Młynarczyk

Najpiękniejsze Australijki to Polki

Czy są jakieś podobieństwa Australii i Polski? – padło kolejne pytanie. Tu podróżnik zastanowił się dłużej. – Świat to globalna wioska – stwierdził i podał przykłady, że australijskie orzechy można kupić w małej polskiej wiosce, a w warszawskiej restauracji zjeść stek z kangura. Poza tym: – W Australii jest wielu Polaków, a najpiękniejsze Australijki to Polki – podróżnik dodał, że Polki wyróżniają się też tym, że dbają o swój wygląd, w Australii kobieta w samych majtkach na zakupach to codzienny widok, u nas – nie do pomyślenia.

Lubię być tutaj

Spotkanie promowało książkę Marka Niedźwieckiego „Australijczyk”.

Pytany, czy nie miał pokusy, by wyjechać z Australii na stałe, odpowiedział zdecydowanie: – Nie, nie myślałem o tym. Tu lubię być. Lubię podróżować, ale najbar-

dziej – powroty i wspomnienia, lubię szarą normalność, powtarzalność. W sumie w Australii był 13 razy, spędził tam ponad rok. Obserwował chorobę emigracyjną, która polega na stałym rozdarciu: ci, co zdecydowali się na emigrację tęsknią za Polską, a gdy w Polsce, tęsknią za Australią.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Pomysł narodził się w Radzynie

Jednocześnie wywiązała się dyskusja na temat tytułów książek. – „Australijczyk” miał być „Uciezką do Australii”, ale jak uciezka to przed czymś... – tłumaczył dziennikarz, wspominał o swym tytule „Nie wierzę w życie pozaradiowe” i zastanawiał się, czy nie napisze książki pod tytułem „Muszę uwierzyć w życie pozaradiowe”. Innym pomysłem jest „Dyrdymarki”. Na spotkaniu Marek Niedźwiecki wpadł na pomysł tytułu: „Niedźwiedź obwoźny”. Jeśli taki będzie – pamiętajmy, że pomysł narodził się w Radzynie.

Zapytany o wątek osobisty – wypowiedź „nie chciałem mieć bagażu w postaci żony i dzieci”, odpowiedział: – Urodziłem się w Szadku 2,5-tysięcznej miejscowości. Wymarzyłem sobie, że będę prowadził Listę Przebojów w „Trójce” i odtąd wszystko zeszło na drugi plan.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Mój wiek daje mi wolność

Na spotkaniu nie zabrakło pytań o karierę dziennikarza muzycznego. Dziennikarz wspominał początki w studenckim radiu „Żak” i swoje szczęście, gdy zatelefonował do niego Andrzej Turski, zapraszając go do prowadzenia w „Trójce” Listy Przebojów. Mówił o swoich upodobaniach i fascynacjach muzycznych – także tych importowanych z Australii. Gdy z widowni padło pytanie, czy czuje się usatysfakcjonowanym „ojcem” upodobań muzycznych Polaków, które kształtuje na radiowej antenie od 36 lat, odpowiedział negatywnie. – Chyba źle wychowywałem, bo gdy włączę telewizor, słyszę najwięcej disco polo.

Za najlepszą muzykę uznał tę z lat 70. – Może wydaje mi się najlepsza, bo kojarzy mi się z moją młodością – dodał. Przyznał też, że jest fanem nowej polskiej muzyki rockowej – jest wiele nowych nazwisk, na czele listy przebojów królują polskie utwory. Wymienił kilka nazwisk: Daria Zawilow, Krzysztof Zalewski, Dawid Podsiadło.

Wyznał też, że mając 64 lata czuje się spełniony, nie ma marzeń związanych z dziennikarstwem, nie pędzi na wywiady, gdzie będzie w tłumie dziennikarzy i uda mu się zadać 1-2 pytania muzykowi. – Mój wiek daje mi wolność, nic już nie muszę – powiedział. Jednocześnie podał przykłady, że to o jego obecność zabiegają organizatorzy imprez i koncertów.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Spotkanie zakończyło się wręczeniem karykatury autorstwa Przemysława Krupskiego oraz – podpisywaniem przez autora książki „Australijczyk”.

Na 25. edycję „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” zaprosił Burmistrz Radzyna Podlaskiego Jerzy Rębek, a także organizatorzy: Radzyńskie Stowarzyszenie „Podróżnik”, Radzyński Ośrodek Kultury oraz Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie Podlaskim. Sponsorami wydarzenia byli: firma drGerard, Spółdzielcza Mleczarnia „Spomlek” w Radzynie Podlaskim, Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych, Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej i Przedsiębiorstwo Komunikacji Samochodowej w Radzynie Podlaskim, a także firma Flow Media. Patronat nad wydarzeniem objął ogólnopolski miesięcznik „Poznaj Świat”.

Anna Wasak
7.10.2018 r.

Staram się skupiać na pięknej przyrodzie

Wywiad Roberta Mazurka z Markiem Niedźwieckim, dziennikarzem muzycznym i autorem książki „Australijczyk”

Od małego marzył Pan o pracy w radio. Jakie były Pana odczucia, kiedy po raz pierwszy znalazł się Pan w Polskim Radiu?

Zawsze jest tak, że człowiek sobie coś wyobraża, a potem rzeczywistość wygląda inaczej. I właśnie tak było w moim przypadku. Kiedy pierwszy raz pojawiłem się w Polskim Radiu, w rozgłośni łódzkiej, trochę byłem rozczarowany...

Ale przecież pracował Pan już wcześniej w radiu „Żak”, więc nie rozumiem tego rozczarowania...

Tak, ale radio „Żak” było taką manufakturą. Sprzęt, który mieliśmy, był stary – taki, którego w Polskim Radiu nikt nie chciał już naprawiać. Studia były urządzone w akademiku, w normalnych pokojach. Za wygłuszenie robiły wytłaczanki do jajek. Była to kompletna prowizorka. Natomiast wydawało mi się, że radio z moich snów będzie bogate, piękne i z dużą klasą. Inaczej sobie wymarzyłem Polskie Radio, a inaczej to wyglądało w rzeczywistości. Przeszedłem jednak szybko nad tym do porządku dziennego, bo spełniało się moje największe marzenie. Zacząłem pracować w łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia. Tak naprawdę prawdziwe radio zobaczyłem w 1982 r., kiedy zostałem przyjęty do Trójki. To dopiero było moje radio z marzeń!

Radio określa się często jako teatr wyobraźni. Mówiąc do mikrofonu, wyobraża Pan sobie, że słuchają tego setki tysięcy osób czy zawsze jest to jeden człowiek?

W moim przypadku zawsze jest to jeden człowiek, choć mówię: „Witam Państwa”, bo według mnie jest to lepsza forma – nie zwracam się do słuchacza na Ty, jak ma to miejsce w stacjach komercyjnych. Pozostałem przy „Dzień dobry Państwu” i robię tak od czterdziestu lat. Tego jednego słuchacza nawet sobie jakoś specjalnie nie wyobrażam. W radiu wzięłem się ze słuchania radia, i zawsze spikera odbierałem jako osobę, która mówi właśnie do mnie, a nie krzyczy do milionów. Dlatego i ja nigdy nie skanduję w radiu, nie krzyczę. Niestety, niesie to ze sobą pewne zagrożenia. Prowadząc nocne audycje czasami zbliżałem się na intymną odległość ze słuchaczami. Czytając wiersz mówiłem „Kocham Cię”, a słuchaczki myślały, że mówię do nich. Więc jak dostałem telegram: „Zrozumiałam – przyjeżdżam – czekaj na mnie na dworcu o 23.15” – to się trochę przestraszyłem. Po pewnym czasie przestałem robić te audycje. Radio jest teatrem wyobraźni i nie wolno zbliżyć się na taką odległość, że słuchacz zrozumie mnie opatrnie. Mogę mu tym zrobić krzywdę.

Czy radio nie jest umierającą instytucją? Czy nie uważa Pan, że jego złota era już dawno minęła?

Na pewno tak. Chociaż pamiętam, jak na początku lat 80-tych Piotr Kaczkowski powiedział, że radio umrze za pięć lat. Wszystko na to wskazywało – pojawił się Internet, w którym można było zrobić wszystko. Może radio jest umierające, ale mówiło się też tak o telewizji, kinie, czytaniu książek, płytach analogowych. Moim zdaniem

radio zostanie, chociażby dla kierowców. Gdy stoją w korku, jest ono dla nich ostatnią deską ratunku, takim oknem na świat. To z niego możemy dowiedzieć się o sytuacji na drogach. W takim pojęciu radio przetrwa w odróżnieniu od radia autorskiego. W tej chwili młodzi ludzie odchodzą od jego słuchania. Układają sobie swoje playlisty, swoją muzykę, która gra im 24 godziny na dobę i to bez reklam.

Jak radio zmieniło się przez ten czas, od kiedy rozpoczął Pan w nim pracę aż do czasów obecnych?

Zmieniło się bardzo. Gdy zaczynałem w nim pracę, nie było serwisów informacyjnych i reklam, które obecnie stanowią czasowe ograniczniki. Dzisiaj audycja nie trwa całą godzinę, tylko trzy kwadranse. Zmieniły się też potrzeby słuchaczy. Dawniej były audycje z muzyką klasyczną i nikomu to nie przeszkadzało. Był też Teatrzyk Polskiego Radia, przy którym z całą rodziną zasiadaliśmy i słuchaliśmy. W dzisiejszych czasach nikogo się nie zmusi, by trwał przy radiu.

Spodziewał się Pan, że Lista Przebojów Trójki będzie miała tyle notowań?

Zaczynając tę audycję w kwietniu 1982 r. nie zakładałem, że będzie ona moim całym życiem. Nie sądziłem nawet, że przetrwa do setnego wydania. Pamiętam dokładnie listę Studia Rytm, na której się wychowałem. Wydawało mi się, że stanowiła ona połowę mojego życia, pomimo że istniała tylko cztery lata. A my nadajemy 36 lat i pobiliśmy już chyba wszystkie krajowe rekordy.

Wyobraża sobie Pan moment, w którym opuści Pan Myśliwiecką i przejdzie na emeryturę?

Jeszcze parę lat temu nie dopuszczałem takiej myśli do siebie. W przyszłym roku kończę 65 lat i będę mógł przejść na emeryturę. Mój głos nie zmienił się, chęci nadal mam, znudzenia nie zaobserwowałem. Wszystko będzie zależało od tego, co się będzie działo obok. Choć może powinienem sobie wyznaczyć jakąś granicę, na przykład dwutysięczne wydanie listy i powiedzieć: „Trzeba wiedzieć kiedy ze sceny zejść. Niepokonanym.”

Po dwóch książkach autobiograficznych i o Liście Przebojów Trójki napisał Pan wreszcie książkę, w której zaprasza czytelników w podróż „na koniec świata”. Marzył Pan o Australii jako mały chłopak?

Tak. Wzięło się to z książki Alfreda Szklarskiego „Tomek w krainie kangurów”. Ponadto w 1964 r. z mojej rodzinnej miejscowości Szadek wyjeżdżała do Australii pewna rodzina. Odbierałem to wtedy jakbym patrzył na film, w którymś ktoś wyjeżdża na koniec świata. To wydarzenie podziało na moją wyobraźnię. Marzyłem o tym, żeby w przyszłości zobaczyć świat. Żyliśmy wtedy w głębokiej komunie, a wyjazd tej rodziny był dla mnie dużym wydarzeniem.

Po raz pierwszy do Australii wyjechał Pan w 1995 r. Jak to się stało?

Wszystko przez moją koleżankę Iwonę, która na stałe przeprowadziła się do Adelajdy. Tak jak ja pracowała w Trójce i była moją korespondentką z Australii. Udało jej się

namówić trzy tamtejsze stacje radiowe, by mnie zaprosiły. Miałem przyjechać i robić dyskoteki w Perth, Adelajdzie, Melbourne i Sydney. Bardzo mi one nie pasowały, ale cały wyjazd stanowił kuszącą propozycję. Zaryzykowałem i nie żałuję tego.

Skąd pomysł na „Australijczyka”?

Formę i tytuł książki wymyślił wydawca. Początkowo miał to być album w nagrodę za moje dwie poprzednie publikacje, które się bardzo dobrze sprzedawały. Jednak w wydawnictwie stwierdzono, że każde zdjęcie ma mieć historię. Bazując na swoim blogu dopisałem tekst do fotografii, które następnie w przemyślany sposób ułożyliśmy w całość. Wydawnictwo zakładało, że sprzeda się może 10 tys. egzemplarzy, a my po dwóch latach dobijamy już do 25. Cieszę się z tego ogromnie.

Czy ma Pan jakąś ulubioną muzykę, która towarzyszy Panu podczas wyjazdów do Australii?

Nie da się tak zaplanować, by Australia kojarzyła mi się z konkretną muzyką. Wszystko dzieje się przypadkowo. Podczas każdego wyjazdu słucham dużo muzyki i zazwyczaj są to polscy wykonawcy, których płyty zabieram dla znajomych. Na miejscu staram się też słuchać dużo muzyki z lokalnych rozgłośni radiowych. Jest to dla mnie źródło informacji o ich gustach muzycznych i kulturze.

Jako podróżnik jest Pan samotnikiem?

Bardzo lubię samotnie podróżować, jednak będąc w Australii zdaję się też na moich znajomych. Towarzyszę im podczas wakacji, kiedy to przeważnie oni wybierają miejsca, dokąd jedziemy. Ponadto za każdym razem staram się zrobić coś tylko dla siebie. Tak więc swoje wyjazdy do Australii dzielę na dwie części: jedna to odwiedziny u znajomych, druga – moje własne podróże, które sam sobie planuję.

W opisie książki czytamy: „Nie wszedł na Górę Kościuszki, czego się trochę wstydzi, i na Ayers Rock, z czego jest bardzo dumny.” Skąd u Pana ten wstyd i duma?

Górę Kościuszki odwiedziłem tylko raz i to w bardzo złym momencie. Było to poza sezonem turystycznym. Dzień był wtedy krótki i napadało tyle śniegu, że bez raków człowiek by sobie nie poradził. Doszedłem do miejsca, z którego było już widać szczyt, ale musiałem obejść się tylko zrobieniem zdjęć. Musiałem schodzić, by załapać się na ostatni zjazd kolejką linową do hotelu. Wejście na Górę Kościuszki jest pięknym trekkingiem i myślę, że gdybym pojawił się tam w odpowiedniej porze roku, to na pewno bym ją zdobył. Wszystko jest jeszcze przede mną.

Z kolei co do Ayers Rock, świętej góry Aborygenów, to wielokrotnie miałem okazję wejść na nią. Jednak przeczytałem kiedyś, że wchodząc na szczyt zabiera się jej trochę energii. Do pewnego czasu Aborygeni wręcz dziękowali wszystkim, którzy rezygnowali z wejścia na górę. Można było otrzymać specjalny dyplom potwierdzający ten fakt i z posiadania którego jestem bardzo dumny. W chwili obecnej nie ma już żadnego zakazu dotyczącego wejścia na Ayers Rock. Tak jak już wspomniałem – jest to święta góra Aborygenów i uważam, że nie wolno robić czegoś wbrew ich woli, zadeptywać tego miejsca. Ayers Rock jest górą pośród niczego, a spacer dookoła niej

jest tak cudowny i daje tyle wrażeń, że wejście na nią naprawdę można sobie darować.

Opisuje Pan w książce głównie miejsca, z kolei na fotografiach często pojawiają się drzewa. Interesują one Pana bardziej niż ludzie?

Coś w tym jest. Nie mam w sobie takiej odwagi, by podejść do ludzi i zapytać, czy mogę ich sfotografować. Bardziej pociąga mnie dokumentowanie pięknych miejsc. Nawet swego czasu chciałem wydać album z drzewami Australii. Są one nieprawdopodobnie piękne, takie dramatyczne, czego próbkę możemy zobaczyć w „Australijczyku”. Wydaje mi się, że dla osób, które nawet nie interesują się przyrodą, wydawnictwo takie może być ciekawe. W Australii występuje wiele gatunków drzew, których nie spotkamy nigdzie na świecie, a podejrzewam, że wielu z nas nie odważy się wybrać w podróż „na koniec świata”. Dzięki takiemu albumowi każdy będzie mógł podziwiać przyrodę tego kontynentu.

Czytając „Australijczyka” można odnieść wrażenie, że tam wszystko jest piękne, cudowne, fantastyczne... Czy jest jednak coś, co Pana w Australii irytuje bądź denerwuje?

Jest wiele takich rzeczy. Na przykład miejsca, w których mieszkają Aborygeni. Wyglądają one strasznie, jakby przeszedł przez nie jakiś kataklizm. Wszędzie widać powybijane szyby, na każdym kroku walają się różne sprzęty. Aborygeni wiele rzeczy dostają od państwa i po prostu ich nie szanują. Widok takich miejsc jest bardzo przygnębiający. Jednak z zasady jestem pozytywnie nastawiony do podróży. Tak jak do swojej audycji nie zapraszam artysty, któremu mógłbym powiedzieć, że nagrał złą płytę, tak samo nie pokazuję brzydoty w Australii. Staram się skupiać na pięknej przyrodzie.

Pana miłość do radia nigdy nie osłabła. A jak jest z miłością do Australii? Mieliście swoje kryzysy?

Niejednokrotnie mówiłem już znajomym, że jestem ostatni raz w Australii. Jednak po powrocie do Polski i spojrzeniu na swoje podróże z perspektywy czasu ponownie pakowałem się i jechałem. Największą barierą jest dla mnie sama podróż i niekomfortowe sytuacje z nią związane. Jednak szybko wypieram je z pamięci. Wynagradzają mi to miejsca, do których mam sentyment i lubię wracać.

Jest Pan koneserem australijskich win. Które poleciłby Pan do czytania książki „Australijczyk”?

Do „Australijczyka” polecam Lindeman`s Bin 65 Chardonnay. Jest to moje ulubione wino z gatunku białych. Natomiast z grona czerwonych pasuje Cabernet Sauvignon. Jest to wino, od którego osobiście zaczynałem degustację i do którego czuję wielki sentyment. Ponadto na wieczór z książką polecam też wino Shiraz. Jest ono cięższe od innych, ale ma w drugim smaku taką słodycz, którą bardzo lubię.

Dziękuję za rozmowę.

Dziękuję.

23.09.2018 r.



Fot. Michał Maliszewski

Anna Kamińska – absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, dziennikarka, autorka książek i wydawca telewizyjny. Publikowała między innymi w tygodniku „Wysokie Obcasy” oraz w magazynach „Uroda Życia”, „Zwierciadło”, „Sukces” i „Pani”. Autorka książek: „Odnalezieni. Prawdziwe historie adoptowanych” (2010), „Simona. Opowieść o niezwykłym życiu Simony Kossak” (2015), „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci. Historia Wandy Rutkiewicz” (2017) i „Białowieża szeptem. Historie z Puszczy Białowieskiej” (2017). Za ostatnią z książek zdobyła Nagrodę Literacką Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. W chwilach wolnych od pisania gra na wiolonczeli.

Chciała żyć, ale nie miała nic przeciwko śmierci

Gościem „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” była Anna Kamińska – tym razem nie podróżniczka, ale autorka książki o wyjątkowej podróżniczce i himalaistce: „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci. Historia Wandy Rutkiewicz”. Spotkanie – jak przystało na temat – odbyło się w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zenona Przesmyckiego w Radzynie.



Fot. Michał Maliszewski

Pretekstem do zaproszenia do Radzyna Anny Kamińskiej – jak wyjaśniał główny organizator spotkania Robert Mazurek – jest 40. rocznica zdobycia przez Wandę Rutkiewicz najwyższej góry na Ziemi – Mount Everestu. W tym samym dniu – 16 października 1978 r. Karol Wojtyła został wybrany na Stolicę Piotrową. Sam to skomentował w słowach skierowanych do Wandy Rutkiewicz podczas I papieskiej pielgrzymki do Polski: „Dobry Bóg tak chciał, że tego samego dnia weszliśmy tak wysoko”.

Pierwszym pytaniem skierowanym przez Roberta Mazurka do Anny Kamińskiej było: „Skąd pomysł na książkę o Wandzie Rutkiewicz?”

Okazało się, że po napisaniu dobrze przyjętej przez czytelników książki o Simonie Kossak pisarka szukała tematu na kolejną książkę biograficzną. Wiedząc, że zajmie jej to około dwóch lat trudnej pracy, m.in. podróży do różnych miejsc,

przeszukiwania archiwów – sądowych, radiowych, telewizyjnych, spotkań, rozmów – chciała, by była to postać, której biografia „zapali w niej czerwoną lampkę”, da zapał do pracy, siłę w trudnych momentach. Poza tym szukała takiego bohatera dla swej książki, by badając jego biografię, miała pretekst do dłuższego pobytu w Zakopanem.

Następnie rozmówcy zajęli się już bohaterką książki, zaczynając od jej charakterystyki.

Za najważniejszą cechę Wandy Rutkiewicz, jej biografka uznała determinację. – Miała syndrom prymusa. Nie było dla niej sytuacji nie do pokonania, skoro chora na anemię wybrała się na Mount Everest czy z chorą nogą jako pierwsza kobieta na świecie i pierwszy Polak zdobyła K2 – przekonywała Anna Kamińska.



Fot. Michał Maliszewski

Siłę charakteru kształtowała od dzieciństwa, gdy musiała wziąć na siebie obowiązki dorosłej osoby. – Zawsze, gdy jej ktoś powiedział, że nie da rady czegoś zrobić – bo jest za słaba, czegoś nie potrafi – to uruchamiało w niej takie pokłady ambicji, że na przekór wszystkim i wszystkiemu musiała to zrobić – mówiła autorka.

Rozmówcy podkreślali rolę, jaką w życiu himalaistki odegrał ojciec. Przekazał córkom pasję do uprawiania sportu, kreatywność, wolny styl życia, wizjonerstwo, oddanie pasji – wymieniała Anna Kamińska. – Wanda była w tym wszystkim podobna: też miała pasję, fascynowała się sportem, snuła plany, miała wizjonerskie pomysły, była świetnym menadżerem, jeśli chodzi o planowanie i przygotowanie wypraw.

Robert Mazurek przytoczył różne opinie o himalaistce. – Wzbudzała skrajne emocje, była różnie charakteryzowana. Jedni mówili, że jest ciepła, wrażliwa, życzliwa, inni – że jest „królową lodu”.

Anna Kamińska odpowiedziała, że nikogo nie da się scharakteryzować jednym słowem, bo każdy z nas różnie się zachowuje w różnych sytuacjach, środowiskach, zmienia się z upływem czasu. – W swojej książce staram się przytaczać różne opinie, by ten wielogłos zaprezentował jak najpełniejszy portret himalaistki – tłumaczyła autorka. Z rozmów z jej przyjaciółmi wynika, że na różnych wyprawach bywała różna, miała też humory i kaprysy. Gdy w mediach opowiadała o wyprawach w góry, mówiła piękną, płynną polszczyzną. Na wyprawach klęła jak szewc, traktowała ludzi instrumentalnie. Na pewno była sobą, gdy czuła się bezpiecznie, wśród osób życzliwych, prawdziwa była w Himalajach, gdzie czuła się jak ryba w wodzie – zastanawiała się Anna Kamińska. – Moim zadaniem było poukładać te wszystkie sytuacje, ściągnąć maski, by stworzyć jak najpełniejszy obraz. Ale i tak decydujące są jej dokonania – spuentowała tę część rozmowy.

Na pytania, jaka była po osiągnięciu sukcesów i czy woda sodowa nie uderzyła jej do głowy, Anna Kamińska odpowiedziała, że Wanda Rutkiewicz lubiła być gwiazdą, znajdować się w centrum uwagi, chętnie udzielała wywiadów, pozowała do zdjęć, zależało jej na tym, by dobrze wyglądać w mediach, dziwiła się, gdy jej nie rozpoznawano na ulicy. Koledzy i koleżanki zazdrościli jej sukcesów i sławy.

Na pytanie Roberta Mazurka, dlaczego w ostatnim okresie wielu nie chciało chodzić z nią na wyprawy, Anna Kamińska również nie udzieliła jednoznacznej odpowiedzi. – Z jednej strony w wieku ponad 30 lat była już wolniejsza, ale też była twardym wspinaczem, skłonny do wchodzenia w sytuacje niebezpieczne, do podejmowania ryzyka, jakiego nie chcieli inni, szczególnie mający rodziny. Faktem jest też, że traktowała ludzi przedmiotowo, nie liczyła się ze zdaniem innych, uchodziła za dyktatora. Ale może wynikało to z olbrzymiego doświadczenia, a zabierała na wyprawy osoby niedoświadczone? – zastanawiała się Anna Kamińska.

Wspinając się powyżej 8 tys. m n.p.m., świadomie wchodziła w strefę śmierci, bo tam, gdzie jest mało tlenu, istnieje takie ryzyko. Ostatnia wyprawa w 1992 r. – trzecie podejście na Kanczendzongę w Himalajach oznaczała: wszystko albo nic. Jak zawsze – chciała próbować do końca.

Nie szukała śmierci, „chciała żyć, ale nie miała nic przeciwko śmierci” – jak napisała w mailu do przyjaciółki.

Na kolejne pytanie Roberta Mazurka, czy Wanda Rutkiewicz czuła się spełniona czy też czegoś jej w życiu brakowało, Anna Kamińska odpowiedziała, że zapewne ciepła rodzinnego: – Choć świadomie nie założyła rodziny, z jej zachowania, gdy znalazła się w rodzinie zaprzyjaźnionej, można było wysnuć taki wniosek, mogła mieć taką ludzką wręcz biologiczną potrzebę.

Ostatnie pytanie dotyczyło spotkania z Janem Pawłem II w 1979 r. – Deklarowała się jako ateistka, nie znam opowieści, żeby chodziła do kościoła. Jeśli chodzi o spotkanie z Janem Pawłem II, odbyło się ono z inicjatywy jej kolegi, krakowskiego dziennikarza.



Fot. Michał Maliszewski

Kazimierz Domański, jeden z uczestników spotkania, wyraził uznanie za zorganizowanie spotkania, które łączy dwie okrągłe rocznice: wyboru Jana Pawła II na stolicę Piotrową oraz zdobycia przez Polkę najwyższej góry na Ziemi. Dodał, że spotkanie świetnie wpisuje się w obchody 100. rocznicy odzyskania przez Polskę Niepodległości. – Wanda Rutkiewicz nigdy nie zdecydowała się wyjechać na stałe z Polski, nie zmieniła adresu zamieszkania, gdy wracała z gór – to przyjeżdżała do Polski – spuentowała Anna Kamińska.

Na spotkanie z Anna Kamińską zaprosił Burmistrz Radzyna Podlaskiego Jerzy Rębek, a także organizatorzy: Radzyńskie Stowarzyszenie „Podróżnik”, Radzyński Ośrodek Kultury oraz Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie Podlaskim. Sponsorami wydarzenia byli: firma drGerard, Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych i Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Radzynie Podlaskim. Patronat nad wydarzeniem objął ogólnopolski miesięcznik „Poznaj Świat”.

Anna Wasak
22.10.2018 r.



Fot. Karol Lewandowski

Aleksandra i Karol Lewandowscy – mają po 29 lat (oboje rocznik 1989), są blogerami podróżniczymi i od 8 lat podróżują po świecie starym kolorowym busikiem w ramach projektu „Busem Przez Świat”. W sumie odwiedzili już ponad 60 państw na 5 kontynentach, wydając dziennie średnio jedynie 8 dolarów. Zwycięzcy konkursu Blog Roku 2014, Twórca Wideo Roku 2015, Travelery National Geographic 2017 oraz nominowani do prestiżowej nagrody podróżniczej „Kolosy”.

Prowadzą jeden z najpopularniejszych blogów podróżniczych w Polsce – www.busemprzezswiat.pl. Średnio spędzają w podróży 6-8 miesięcy w ciągu roku, a blog i podróże stały się ich sposobem na życie. Dzielą się na nim swoimi przygodami oraz poradami jak tanio podróżować. Wydali też 4 książki – „Busem przez świat. Wyprawa pierwsza” (2011), „Ameryka za 8 dolarów” (2013), „Australia za 8 dolarów” (2016) oraz „Alaska i Kanada” (2018) – które stały się bestsellerami i doczekały się wielokrotnych dodruków.

Kolorowym busikiem przez Kanadę i Alaskę

Aleksandra i Karol Lewandowscy – autorzy projektu „Busem Przez Świat” odwiedzili Radzyń 9 listopada w ramach 26. edycji „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”. Tym razem podróżnicy zabrali licznie zebranych słuchaczy w podróż do Kanady i na Alaskę, instruowali, jak podróżować tanio i nie dać się skonsumować niedźwiedziom.

Zacząło się jak zwykle – od odsłonięcia tabliczki na Skwerze Podróżników. Uwagę przechodniów zwracał kolorowy busik z podróżniczymi motywami, który rozjaśniał i rozweselał szary o tej porze roku radzyński krajobraz. Po przedstawieniu gości przez organizatora spotkania Roberta Mazurka i odsłonięciu przez nich tabliczki, pamiątkowy medal „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” wraz z certyfikatem wręczył w imieniu burmistrza Jerzego Rębka przewodniczący Rady Miasta Adam Adamski.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Alaska? Raj dla podróżników, którzy...

W drugiej części spotkania, która odbyła się w sali kameralnej ROK, podróżnicy opowiedzieli o swej wyprawie na Alaskę i do Kanady, które zwiedzili w 2017 r. Był to pierwszy etap ich 5-letniego projektu pn. „Busem przez 3 Ameryki”.

Swe doświadczenia, wspomnienia zawarli w wydanej w tym roku książce „Busem Przez Świat. Alaska i Kanada”, która była głównym tematem spotkania. Robert Mazurek dodał, że podróżnicy prowadzą bloga i wideobloga, na którym regularnie dokumentują swoje wojaże. Stąd znani są wielu obecnym na spotkaniu miłośnikom podróży. W trakcie opowieści okazało się, że dzięki temu znani są w różnych zakątkach świata, co niejednokrotnie pomaga w podróżach...



Fot. Tomasz Młynarczyk

- Alaska kojarzona jest z popularnym serialem, wyprawa tam traktowana jest jak coś nieosiągalnego i drogiego. Tymczasem jest to raj dla tych, co chcą podróżować tanio, spać pod namiotem. Chcemy was przekonać, że taka podróż jest osiągalna dla każdego, zdradzimy szczegóły „od kuchni”, co może pomóc w zrealizowaniu własnej podróży - rozpoczął Karol Lewandowski.

Zaczął się od lektur i marzeń

Zanim jednak zaprosił słuchaczy na Alaskę – zaprezentował pełen humoru film, streszczający 9 lat podróży, projektu i bloga. Okazało się, że fascynacja podróżami zrodziła się z czytania książek podróżniczych w dzieciństwie i choć wówczas dalekie wojaże były „nierealne jak włożenie spodni przez głowę czy podróż na Marsa” – marzenia o podróżowaniu nie zgasły w nim mimo skończenia z powodzeniem „poważnych” studiów – robotyki i informatyki, perspektyw doktoratu robionego w Szwajcarii. – Czuję, że to nie dla mnie – skomentował i opowiedział, jak to już na początku studiów zorganizował pierwszą wyprawę. Pomysłem na obniżenie kosztów podróżowania był wybór środka lokomocji – był to busik przerobiony na kampera. I oczywiście odpowiednio przyozdobiony.

Tym środkiem lokomocji wraz z kuzynami wybrał się w pierwszą podróż. – Przeżyliśmy przygody, o jakich czytaliśmy w książkach, zwiedziliśmy najpiękniejsze zakątki Europy, kradzież bagaży i areszt – mówił podróżnik.

Owoce tej pierwszej wyprawy to plany objechania świata busem, olbrzymia popularność prowadzonego przez nich bloga, konta na Facebooku oraz wydanie pierwszej książki.

Jak najtaniej podróżować

Od tamtego czasu: poznał Ołę, która nie tylko towarzyszy mu w podróżach, ale obecnie jest jego żoną oraz odwiedził busem 60 krajów na pięciu kontynentach. Przez ekipę przewinęło się około 100 osób. Podróżują zawsze jak najtaniej: własnym busem, śpią najczęściej pod namiotami, sami gotują. W sumie podczas wypraw wydają ok. 8 dolarów dziennie na osobę. Pieniądze oszczędzają w ciągu roku, ponadto środkiem utrzymania stały się dla nich podróże, dzięki temu, że prowadzą bloga i wideobloga, wydają książki, odbywają spotkania, robią sesje zdjęciowe dla firm w egzotycznych sceneriach, realizują projekty filmowe, prowadzą sklep internetowy, realizują wyprawy przygodowe dla firm. Otrzymali nagrody „Blog Roku 2014” i „Twórca Wideo Roku 2015”. Ich pasja stała się sposobem na życie.

W 2017 r. Aleksandra i Karol Lewandowscy rozpoczęli projekt „Busem przez 3 Ameryki”. Zdecydowali się, że będą go realizować etapami przez pięć lat. Rozpoczęło się od podróży przez Kanadę i Alaskę. Wyprawa trwała 70 dni, pokonali w jej trakcie 20 tys. km. Zainspirował ich film „Into the Wild” – o amerykańskim autostopowiczu Aleksandrze Supertrampie.

Pierwszym amerykańskim przystankiem było... Chicago, gdzie kupili, wyremontowali busa (dzięki Polakowi „złotej rączce”), znaleźli darmowy nocleg (dzięki Polce poznanej na blogu).

Wyposażenie campingowe kupili za grosze w sklepie charytatywnym, gdzie jedni oddają niepotrzebne rzeczy, które sprzedawane są po bardzo niskich cenach, a dochód przekazywany jest na cele charytatywne.



Fot. Michał Maliszewski

Krajan w motelu-widmie i „uczciwe skrzynki”

Karol Lewandowski dzielił się wrażeniami z przejazdu przez Kanadę. Jechali drogą Alaska Highway zbudowaną w 1942 r. dla celów wojskowych. Po wojnie była wykorzystywana przez turystów, powstało przy niej wiele moteli i stacji benzynowych.

Obecnie wykorzystywany jest transport lotniczy – droga opustoszała, opuszczone motele, pozostawione przed laty robią wrażenie upiorne. W jednym z nich jednak spotkali mieszkańca – Polaka! – pana Waldemara (co ciekawe pochodzącego ze Świdnicy na Śląsku – rodzinnej miejscowości Karola Lewandowskiego!) samotnie (i szczęśliwie) żyjącego od 7 lat w hotelu-widmie.

Przejazd z południa na północ Kanady to odległość kilku tysięcy kilometrów – jak przez Europę z Egiptu na Islandię, tylko że jest to monotonna droga przez pustkowia, na której 2-3 razy dziennie można spotkać samochody – tłumaczył podróżnik. Ma to swe plusesy: noclegi na łonie natury albo na darmowych lub bardzo tanich campingach, gdzie można liczyć na samotność, w pięknych miejscach.

Ciekawostką campingów są „uczciwe skrzynki”. Nie ma tam na stałe obsługi, podróżnicy sami wyliczają i zostawiają należne za pobyt pieniądze – zgodnie z cennikiem.

Jak odróżnić niedźwiedzia – smakosza padliny od smakosza świeżyny?

Minusem pustkowiec jest stała obecność dzikich zwierząt – w tym groźnych dla ludzi niedźwiedzi. Jak się przed nimi zabezpieczyć? O tym Karol Lewandowski opowiadał z humorem. Przede wszystkim w ciemności trzeba rozpoznać ciemnobrązowego grizli od jasnoczarnego baribala. Ten pierwszy „mięś nieświeżych nie je” – nie znosi padliny, więc podczas spotkania z nim trzeba udawać trupa. – Gdy położymy się i pozostaniemy bez ruchu, obniżymy sobie tętno, niedźwiedź przeturla, podniesie, podrzuci, upuści, ale zostawi – nie zje. Ten drugi – na odwrót: gustuje w padlinie. Trzeba go huknąć pięścią w nos, to się zdziwi i odejdzie – instruował podróżnik.

Aleksandra dodała, że w rzeczywistości te sytuacje nie są zabawne, ale groźne, trzeba zachować wiele środków ostrożności, by ująć z życiem.

Podróżnicy opowiadali również o swym „bliskim spotkaniu” z lodowcem (tu również skorzystali z pomocy Polki, która mieszkała niedaleko) – mogli pływać tuż obok niego kajakami, a nawet wpływać do wnętrza, co zrobiło na nich niesamowite wrażenie.



Fot. Michał Maliszewski

Dotarli do legendarnego autobusu, choć za wysoką cenę

Celem wyprawy na Alaskę był autobus z filmu „Into the Wild” – którego bohaterem jest amerykański autostopowicz Chris McCandless, młody włóczęga z

dobrego domu i bohater książki „Wszystko za życie” (tyt. oryg. „Into the Wild”), który znany jest jako Aleksander Supertramp. Autobus to pozostałość po budowie drogi, z której zrezygnowano z powodu nieprzyjaznych warunków. Droga przez kilkadziesiąt lat praktycznie zniknęła, na jej szlaku pojawiły się rozlewiska. Pozostał tylko jeden autobus, służący niegdyś za mieszkanie dla robotników, którego z powodu poważnego uszkodzenia nie zabrano. Mieszkał w nim amerykański autostopowicz Aleksander Supertramp, który prawdopodobnie zmarł z głodu, ponieważ nie mógł przepłynąć się przez płynącą obok rzekę Teklanikę.

Nasi podróżnicy postanowili tam dotrzeć. Jednak droga okazała się ciężka, a Teklanika rwąca, szeroka, lodowata, ze śliskimi kamieniami na dnie – mimo podejmowanych wielokrotnie prób – nie do przekroczenia.

Mimo to spełnili swe marzenie. Okazało się, że otrzymali przelew na 10 tys. zł jako nagrodę za zwycięstwo w konkursie, do którego zgłosili się kilka miesięcy wcześniej. Za te pieniądze ufundowali sobie helikopter, którym dotarli do autobusu. – Traktowaliśmy to jak pielgrzymkę – tłumaczył Karol Lewandowski. Zobaczyli autobus wyposażony jak kilkadziesiąt lat temu: w szafki, kominek, łóżko. Rodzice Chrisa co roku zostawiają tam zapasy żywności, aby kolejni podróżnicy nie podzielili losu ich syna – nie zmarli z głodu.

Spotkanie zakończyło się tradycyjnie – wręczeniem karykatury podróżników autorstwa Przemysława Krupskiego oraz indywidualnymi rozmowami podczas podpisywania książek z cyklu „Busem Przez Świat”.

Na 26. edycję „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” zaprosił Burmistrz Radzyna Podlaskiego Jerzy Rębek, a także organizatorzy: Radzyńskie Stowarzyszenie „Podróżnik”, Radzyński Ośrodek Kultury oraz Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie Podlaskim. Sponsorami wydarzenia byli: firma drGerard, Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych i Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Radzynie Podlaskim. Patronat nad wydarzeniem objął ogólnopolski miesięcznik „Poznaj Świat”.

Anna Wasak
15.11.2018 r.

Kolorowy busik przyciąga do nas ludzi

Wywiad Roberta Mazurka z Aleksandrą i Karolem Lewandowskimi, autorami projektu „Busem Przez Świat”

Podróżujecie po świecie, spełniamie marzenia i jesteście szczęśliwymi ludźmi. Powiedźcie proszę, jak to wszystko robicie?

Ola: To był cały proces. Wszystko zaczęło się 10 lat temu od pomysłu Karola.

Karol: Był to pomysł na podróż po zachodniej Europie. Większość ludzi tylko o czymś takim marzy i ciągle wymyśla sobie wymówki, by tych marzeń nie zrealizować. Stwierdziłem, że muszę spróbować i zrobić pierwszy krok. Wtedy myślałem, że będzie to jedna podróż i na niej wszystko się zakończy. Planowałem nawet sprzedać auto, które kupiliśmy specjalnie na tę wyprawę. Jednak po powrocie do domu uwierzyłem, że można realizować swoje marzenia i że nie jest to trudne. Zrozumiałem też, że największa przeszkoda do ich realizacji znajduje się w naszej głowie. Od tamtego momentu zacząłem organizować kolejne podróże. Było ich coraz więcej, a z roku na rok wybieraliśmy się na dłuższe wyjazdy. Obecnie poza domem spędzamy 8 miesięcy w roku. Doszliśmy do momentu, w którym pasja stała się naszą pracą. Jesteśmy szczęśliwymi ludźmi, bo zawsze robimy to, co lubimy. Dzisiaj jest to naszym sposobem na życie.

Skąd pomysł na podróżę kolorowym busikiem?

Karol: Wszystko wzięło się z przekonania, że podróż samochodem jest wygodniejsza i tańsza. Uznałem, że jak będziemy się przemieszczali własnym autem, to będzie ono również naszym domem na kółkach. Wtedy też stwierdziłem, że nie chcę, by to był zwykły samochód; chciałem, by już z daleka było widać, że jest to auto podróżnicze. Inspiracją dla mnie były samochody hipisów, którzy w latach 50. i 60. podróżowali po USA. Znalazłem w sieci galerię starych hipisowskich busików, Volkswagenów T1 i T2. Ich wygląd zainspirował mnie do tego, by wymyślić nasze barwy, które mamy do dzisiaj na busie.

A nie boicie się, że rozkraczy się on gdzieś na środku drogi i w ten prosty sposób niewiecy Wasz wysiłek i przez to sprawi, że plany podróży prysną jak bańka mydlana?

Ola: Mamy wręcz nadzieję, że coś się zepsuje po drodze. Tego typu przypadki wiązały się z wielką przygodą, ze spotkaniem ciekawych ludzi. Doświadczyliśmy mnóstwo takich sytuacji. Chociażby w Australii (o czym jeszcze chyba nikomu nie opowiadałam, ale w tym momencie mam potrzebę podzielenia się tą historią), gdzie zawsze chcieliśmy poznać społeczność aborygeńską. Jednak jako turyści nie jesteśmy w stanie tego zrobić, bo zawsze mamy ze sobą aparaty. Ponadto Aborygeni już wiedzą, że turysta to pieniądze. Gdy byliśmy tam ostatnim razem, nasz samochód popsuł się gdzieś „pośrodku zupełnie niczego”. Było to w okolicach małej miejscowości, gdzie 99% mieszkańców to Aborygeni. Mając problemy z naprawą samochodu, spędziliśmy w niej ponad tydzień. Nie było tam niczego ciekawego do zwiedzania, dlatego zawsze chodziliśmy bez aparatów. Byliśmy dla nich zwykłymi ludźmi. Mieszkając w namiotach, zaczęliśmy też żyć jak Aborygeni.

Było bardzo gorąco. Normalny człowiek chowa się wtedy w domu, gdzie jest klimatyzacja. Na dworze można spotkać tylko Aborygenów, którzy podczas upałów najczęściej idą pod drzewo, gdzie jest cień, i piją zimne piwo. W tej części Australii przepisy zabraniają picia alkoholu w mieście, dlatego wychodzili oni za znak oznaczający jego granicę i siadali pod pierwszym napotkanym drzewem. Będąc tam przez ponad tydzień, stwierdziliśmy, że jest to chyba jedyne rozwiązanie, by się schłodzić. Robiliśmy więc tak samo. Po kilku dniach zaczęli schodzić się do nas Aborygeni. Siadali z nami, jakbyśmy byli jednymi z nich. Uznali chyba, że jak biały człowiek zachowuje się tak jak oni, to można z nim normalnie spędzać czas.

Gdziekolwiek się pojawicie, swoim samochodem skupiacie na sobie uwagę. Czy nie jest tak, że busik pozwala Wam przełamywać bariery?

Karol: Na pewno nie było to naszym założeniem i powodem, dla którego tak pomalowaliśmy nasz samochód. Zauważyliśmy jednak, że przez swój wesoły wygląd wywołuje on u ludzi uśmiech. Mijający nas po drodze kierowcy machają do nas, mnóstwo osób chce robić sobie z nami zdjęcia. Praktycznie wszędzie, gdzie się tym busem zatrzymamy, ludzie podchodzą do nas. Nie boją się nas, bo wiedzą, że jak ktoś pomalował tak auto, to na pewno nie jest kimś groźnym. Chcą z nami choć przez chwilę porozmawiać. Często zapraszają nas do siebie. Na przykład na Florydzie podeszła do nas młoda surferka, która zaczęła nas wypytywać o samochód. Gdy dowiedziała się, że jesteśmy z Polski, była pod wrażeniem, że przyjechaliśmy z tak daleka. Nie zgodziła się, byśmy spali na plaży, tylko zaprosiła nas do swojego domu. Spędziliśmy u niej kilka dni, w tym czasie nauczyła nas pływać na desce. Takich sytuacji naprawdę przytrafia się nam bardzo dużo. Kolorowy busik przyciąga do nas ludzi, którzy często pomagają nam rozwiązywać nasze problemy.

Powszechnym poglądem jest, że podróże generują koszty i wymagają dużego budżetu. Jednak swoim przykładem obalacie ten stereotyp...

Karol: Nasze podróże może nie są ekstremalnie tanie, ale są dużo, dużo tańsze niż normalne wyjazdy turystyczne. Dla nas nie ma różnicy, czy podróżujemy po Polsce, po Australii, czy po USA. Wszędzie potrafimy podróżować w ten sam sposób. Oszczędzamy na tym, że nie korzystamy z hoteli ani płatnych kempingów. Zazwyczaj śpimy na dziko pod namiotami lub w samochodzie. Bardzo dużo oszczędzamy też na jedzeniu i na restauracjach. Mamy swoją kuchenkę i lodówkę. Wozimy też ze sobą zapasy jedzenia, które kupujemy na lokalnych farmach. Ponadto atrakcje, z których korzystamy podczas swoich wyjazdów, związane są zazwyczaj z naturą. Często są one za darmo. W ten sposób nasze podróże potrafią być bardzo tanie.

Z założenia podróżujecie za 8 dolarów dziennie. Czy zawsze udaje się Wam dotrzymać tej zasady? Czy jest takie miejsce, gdzie mocno przepłaciliście i nie możecie sobie tego darować?

Karol: Tych 8 dolarów wyszło przypadkiem. Gdy przygotowywaliśmy naszą

pierwszą podróż do USA, to przez cały rok oszczędzaliśmy na nią. Dzień przed wyprawą policzyliśmy, ile mamy pieniędzy, podzieliliśmy to przez liczbę osób i liczbę dni. Wyszło nam, że mamy 8 dolarów na dzień. Rok później przed wyprawą do Australii mieliśmy identyczną sytuację. Znowu wyszło nam 8 dolarów. Wtedy stwierdziliśmy, że jest to optymalna dla nas kwota. Staraliśmy się trzymać jej, jednak nie była ona dla nas wyznacznikiem.

Ola: Były to czasy, kiedy nie zarabialiśmy jeszcze na podróżowaniu. W chwili obecnej jest to już kwota nierealna. Jednak na pewno niczego nie żałujemy. Raczej mamy problem w drugą stronę. Jak poskąpimy na coś, to zazwyczaj później tego żałujemy.

Karol: Na przykład będąc ostatnio w Las Vegas mieliśmy okazję pójść na występ Davida Copperfielda. O takim show marzyłem od dawna. Na początku zastanawialiśmy się, że jednak za drogo. Ale potem przyszła refleksja, że nie wiemy, kiedy będzie znowu okazja zobaczyć Copperfielda na żywo. Wydaliśmy po 120 dolarów za ten występ, co mocno wykroczyło poza nasz budżet, ale nie żałujemy tego.

Ola: Gdy człowiek wyda pieniądze na coś, co nie jest ich warte, to zyskuje tym też określoną korzyść. Zdobywa wiedzę, którą może podzielić się z innymi. Mi osobiście wspomniany występ Copperfielda zupełnie się nie podobał. Ale nie żałuję wydanych pieniędzy, bo poszłam tam z Karolem, który o tym bardzo marzył. Fajnie, że mogliśmy tego doświadczyć wspólnie. Nigdy w życiu nie zdecydowałabym się już na to, podejrzewam, że nawet za darmo.

Karol: A ja z chęcią bym to powtórzył!

Obecnie realizujecie projekt pod nazwą „Busem przez 3 Ameryki”. Skąd pomysł na taką podróż i na czym ona polega?

Karol: Początkowo chcieliśmy odwiedzić Alaskę, odbywając wyprawę do korzeni naszego projektu. Busik, którym podróżujemy, nosi nazwę Supertramp, na cześć głównego bohatera filmu pt. „Into the Wild” – Aleksandra Supertrampa. Był on podróżnikiem, który spalił swoje wszystkie pieniądze i zamieszkał na Alasce, w zupełnej dżicy, wybierając sobie za dom autobus, który do dzisiaj się tam znajduje. Bardzo chcieliśmy odwiedzić to miejsce. Potem uznaliśmy, że jak już tam będziemy, to fajnie byłoby zobaczyć coś więcej. Nasz pomysł rozrastał się, aż w końcu doszliśmy do wniosku, że chcemy powtórzyć podróż Tony Halika. Przejechał on trasę od Argentyny do Alaski. Tak właśnie powstał pomysł wyprawy „Busem przez 3 Ameryki”. Podzieliliśmy ją na kilka etapów. Za nami są pierwsze dwa. W 2017 r. podróżowaliśmy po Alasce i Kanadzie, a w tym roku przejechaliśmy legendarną „Route 66” prowadzącą z Chicago do Los Angeles.

Według jakiego klucza opracowujecie trasę? Co Was inspiruje?

Ola: Nasz plan na podróż powstaje tak naprawdę przez całe życie. Cokolwiek oglądamy w Internecie, w telewizji, ktoś nam o czymś opowie, coś się nam spodoba, to my od razu idziemy do Google Maps i na niej to sobie zaznaczamy. Jak już wiemy, że jedziemy w określone miejsce, to patrzymy, co ciekawego znajduje

się w okolicy. Obecnie nasza mapa wygląda tak, że na całym świecie mamy mnóstwo miejsc, które chcemy odwiedzić. Spinają one naszą podróż w całość. Interesują nas przeróżne rzeczy, ciekawi ludzi, atrakcje, których nie znajdziemy w przewodnikach. Odwiedzamy mnóstwo takich miejsc, które jak w przypadku naszej ostatniej wyprawy, pokazały nam amerykańską duszę. Często są to też obrazy, które widzieliśmy w filmach. Bardzo lubimy kino i lubimy poddawać weryfikacji, czy te miejsca naprawdę tak wyglądają.

W pierwszych dwóch etapach podróży „Busem przez 3 Ameryki” przejechaliście Alaskę i Kanadę oraz legendarną „Route 66”. Jak brzmi TOP 5 Waszych miejsc i podróżniczych przygód w ramach tego projektu?

Ola: Na pewno Pan Waldek mieszkający w motelu widmo na północy Kanady. Zupełnie przypadkiem spotkany człowiek okazał się pochodzić ze Świdnicy, w której urodził się i wychował Karol. Z początku myśleliśmy, że jest on bezdomny i bardzo nieszczęśliwy, jednak było zupełnie inaczej. Z własnego wyboru zamieszkał on w tym miejscu, stwierdzając, że nic mu więcej do szczęścia nie jest potrzebne.

Karol: Harley, który sam siebie nazywa królem rednecków. Jest on jedną z najbardziej wyrazistych osób mieszkających przy „Route 66”. Jak sam mówi o sobie, jest typowym amerykańskim wieśniakiem.

Ola: Trekking do autobusu Supertrampa na Alasce. Choć nie udało się nam do niego dotrzeć piechotą, to dostarczył nam mnóstwo wrażeń.

Karol: Miasto Rosswel, które odwiedziliśmy w tym roku. Poznaliśmy w nim wiele osób, które wierzą w UFO i mają na tym punkcie bzika. Było to dla nas unikalne doświadczenie. Miasteczko jako miejsce jest nieciekawe, ale zmieniło ono nasze postrzeganie sprawy.

Rybackie miasteczko Hope na Alasce, gdzie byliśmy jedynymi turystami. Mogliśmy poczuć tam klimat miasta, które znamy z filmu „Przystanek Alaska”. Zostaliśmy zaproszeni na lokalny koncert w rybackiej kawiarence, gdzie mogliśmy zobaczyć, jak żyją tam ludzie.

Ciekawe jest to, że każdy może pojechać z Wami. Jak rekrutujecie towarzyszy swoich podróży?

Ola: Na przestrzeni lat uległo to zmianie. Gdy nie byliśmy jeszcze tak rozpoznawalni, wybieraliśmy towarzyszy swoich podróży przez Internet na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”. Były to zupełnie przypadkowe osoby, z którymi poznawaliśmy się najczęściej przy busie w dniu odjazdu.

Karol: Teraz tych zgłoszeń jest już trochę więcej. Zdarza się nawet, że na jakąś podróż zgłasza się przeszło tysiąc osób. Chętnych jest tak dużo, że nie jesteśmy w stanie spotkać się ze wszystkimi. Dlatego prosimy o nagranie minutowego filmu, w którym kandydat mówi coś o sobie. Dzięki temu możemy spojrzeć mu w oczy i to wtedy decydujemy, kto z nami pojedzie. Staramy się szukać osób, które są normalnymi ludźmi, z którymi fajnie da się spędzić czas. W żadnym momencie nie decydują super umiejętności, tj. znajomość pięciu języków czy znajomość mechaniki samochodowej. Zabieramy ze sobą towarzyszy podróży, by fajnie się bawić i miło spędzać czas.

W ten sposób obniżacie też koszty...

Karol: Tak naprawdę wszystko od tego się rozpoczęło. Po prostu chcieliśmy, by nasze wyprawy były tańsze. W chwili obecnej, gdy prowadzimy już własną firmę i zarabiamy na podróżach, moglibyśmy sami finansować swoje wyjazdy. Jednak dalej na część wyjazdów zabieramy towarzyszy, bo lubimy taką formę poznawania świata.

A zabieracie po drodze autostopowiczów?

Ola: Jeżeli mamy miejsce, to tak. Warunkiem jest tylko to, czy pozostała część ekipy na to się zgadza. Na naszych wyprawach jest demokracja i każdy ma równoprawny głos.

Swoją podróż „Busem przez 3 Ameryki” relacjonujecie codziennymi wideoblogami. Czy ciągle nagrywanie i ich tworzenie nie przesłania Wam za bardzo podróży? Jak technicznie one powstają?

Karol: Tych filmów faktycznie jest bardzo dużo. Mogłoby się wydawać, że nagrywanie ich dominuje naszą wyprawę. Tak nie jest, bo to podróż jest zawsze na pierwszym miejscu. Ponadto zauważyliśmy, że dzięki nim tylko zyskujemy. Gdy zastanawiamy się, jak pokazać naszą wyprawę, zaraz przychodzi do głowy, że fajnie byłoby pokazać wschód słońca. Normalnie nie chciałoby mi się zrywać z samego rana, ale wiem, że jak nagram to dronem, to będą super ujęcia. Dzięki temu zobaczę jeszcze więcej. Ponadto staramy się, by w każdym odcinku pokazać coś wyjątkowego. Dlatego dużo czytamy na temat odwiedzanych miejsc. Nagrywanie wymusza też na nas to, że zagadujemy napotkanych ludzi. W ten sposób naprawdę dowiadujemy się więcej.

Już 8 lat wspólnie jesteście w drodze i poznajecie świat. Czy wyobrażacie sobie inne życie?

Ola: Na dzień dzisiejszy – nie. Jednak z każdym rokiem wszystko się zmienia. Jeszcze dwa lata temu nie pomyślelibyśmy, że tak może wyglądać nasze życie. Jesteśmy otwarci na wszystko, co nam przyniesie los. Ciągle uczymy się, próbujemy czegoś nowego, jesteśmy w ciągłym ruchu – nie tylko fizycznym, ale i psychicznym. Cały czas realizujemy nowe projekty. W ostatnim czasie wymyśliliśmy sobie markę odzieżową, teraz chcemy być filmowcami i właśnie robimy film pełnometrażowy. W najbliższych latach chcemy stworzyć domki pod wynajem w polskich górach. Mamy świadomość, że nasze obecne działania pozwolą nam otworzyć nowe drzwi, co będzie miało wpływ na naszą przyszłość. Nie przywiązujemy się do tego, jak dzisiaj wygląda nasze życie, bo wiemy, że za jakiś czas ono będzie zupełnie inne. Jednak myślę, że podróże zawsze będą w nim obecne. Może nie będzie to 8 miesięcy w roku, ale dalej wszystko będzie się kręciło wokół nich.

Kiedy podróżujecie, to tęsknicie jeszcze za Polską?

Ola: Nie. Dawniej, jak podróżowaliśmy raz na rok i wyjeżdżaliśmy na cztery miesiące, to faktycznie pojawiała się tęsknota za krajem. Spowodowana była ona tym,

że po pierwsze byliśmy młodszy, a po drugie nie mieliśmy takiego przyzwyczajenia bycia w ciągłej podróży. Dzisiaj jesteśmy non stop w drodze. Nasze podróże są krótsze, jest więcej przerw i częściej jesteśmy w Polsce. Po prostu nie mamy czasu, by zatęsknić.

A myśleliście, aby kiedyś wyprowadzić się z naszego kraju?

Karol: Na początku mieliśmy taki plan. Nasze podróże miały być sposobem na znalezienie swojego miejsca na ziemi. Myśleliśmy, by przeprowadzić się do Australii bądź USA. Jednak im częściej tam bywaliśmy, to dochodziliśmy do wniosku, że Polska jest miejscem, gdzie najlepiej się odnajdujemy. Mimo że wiele miejsc na świecie jest nam bardzo bliskich, nadal traktujemy je tylko jako kierunki naszych podróży. Wiemy już, że na stałe będziemy mieszkali w Polsce.

Czy jest coś takiego, czego autorzy bloga „Busem Przez Świat” nie lubią w podróżach?

Ola: Nie lubimy być zbyt długo w podróży. Wtedy wszystko nam powszednie i nie cieszymy się niczym. Przystajemy ją doceniać. Zauważyliśmy już, że po trzech miesiącach człowiek staje się mniej czujny i traci wiele pięknych miejsc i przygód. Dlatego częściej wracamy do Polski, żeby odpocząć od podróży i na nowo za nimi zatęsknić.

A co dają Wam takie spotkania jak to w Radzynie?

Ola: Dzięki spotkaniom autorskim widzimy, że osoby, które śledzą nasze podróże, nie są tylko liczbami wyświetleń w Internecie. Bardzo często na nasze spotkania przychodzą ludzie, którzy mówią nam, że ich inspirujemy. Daje nam to dużo motywacji do tego, by dalej podróżować. W Internecie mamy jednostronny kontakt – wrzucamy kolejne filmy, ale nie widzimy osób, które to oglądają. Są to tylko wyświetlenia i komentarze. Nawet jak są tego tysiące, to i tak się tego nie odczuwa. Gdy przyjedziemy na spotkanie i zobaczymy, że są to prawdziwi ludzie, to czujemy satysfakcję. Wiemy, że warto to robić, bo ktoś to ogląda.

Wielkie dzięki za tę rozmowę i dużą dawkę inspiracji. Aż sam nabrałem ochoty, aby znowu gdzieś wyjechać...

Ola i Karol: Dziękujemy bardzo.

10.11.2018 r.



Busem Przez Świat - Bus Around The World



11 listopada o 11:27 · 🌐

Takie cyrkil 🤔

W piątek wieczorem, na Skwerze Podróżników w Radzynie Podlaskim odbyło się uroczyste odsłonięcie naszej tablicy. Leżymy tak sobie tuż obok Elżbiety Dzikowskiej, Toniego Halika, Tomka Michniewicza i Jacka Paikiewicza.

Kiedy zadzwonił do nas Robert, inicjator całego tego zamieszania, w pierwszej chwili myśleliśmy, że nas z kimś pomylił. Później próbowałam Karola przekonać, że taka tablica dla nas, to nie najlepszy pomysł, żeby podziękował ładnie za wyróżnienie, ale, że nie...

Później sporo myśleliśmy o tradycyjnym polskim wychowaniu w skromności, o tym, że jak ktoś nam mówi, że ładnie wyglądamy, że coś fajnego zrobiliśmy, to my Polacy zawsze sobie wszystko umniejszamy.

- Ładna sukienka!

- Aaa, stara z lumpeksu...

- Ładnie wyglądasz!

- Co Ty, nie wyspałam się. Ty ładnie wyglądasz.

Itd.

To nasze, takie polskie, żeby sobie umniejszyć, żeby być "skromnym", żeby nie wyjść przed szereg. Bo nie wypada. Bo powiedzą, że ważniak, że sodówka uderzyła.

Później poznaliśmy Roberta, który szczerze jest nami zafascynowany. Robert chłonie każdą podróżniczą książkę, orientuje się w tym świecie jak niewielu. Sam o sobie mówi, że jest podróżnikiem teoretykiem. Wytłumaczył nam, dlaczego to nas wybrał na kolejnych zasługujących na swoją płytkę w mieście.

Choć mocno zawstydzeni, przyjęliśmy to wyróżnienie. Ehh, no miło nam! 😊

Robert dziękujemy ❤️ Dziękujemy również Radzyński Ośrodek Kultury



Busem Przez Świat - Bus Around The World

Blog osobisty

➔ Wyślij wiadomość

👍👎🗣️ 838

Komentarze: 56 3 udostępnienia



Fot. Archiwum Moniki Radzikowskiej

Monika Radzikowska – urodziła się w 1990 r. Z wykształcenia jest archeologiem – pracuje na Zamku Królewskim w Warszawie – a z zamiłowania piechurem, autostopowiczem, pasażerem, włóczykijem i ogólnie człowiekiem, który lubi wędrować w różne miejsca tego kraju i świata.

W 2013 r. odbyła pięciomiesięczną podróż po Rosji, Gruzji i południowej Europie, w 2014 przejechała archeologicznym szlakiem Norwegię, a w 2015 autostopem całą Islandię. W ostatnich latach podejmuje głównie wyprawy na wschód (Mongolia, Ukraina, Białoruś, Rosja). Lubi spotykać ludzi w drodze, lubi podróżować na rowerze lub z plecakiem, niespiesznie, żeby móc gapić się na wszystkie dziwactwa tego świata. Lubi też o tym pisać i opowiadać.

Prowadzi bloga „W plecaku niesione. Historie zbierane po drodze”. Jest też autorką książki „Bajkał tam i z powrotem” wydanej w 2018 r. przez Wojciecha Cejrowskiego w serii „Biblioteka Poznaj Świat”.

Lubię wschodni folklor, od Podlasia po Mongolię

Wywiad Roberta Mazurka z podróżniczką Moniką Radzikowską, autorką książki „Bajkał tam i z powrotem”

We wstępie do książki „Bajkał tam i z powrotem” czytamy: „Marzyłam, żeby w pewnym momencie zamknąć książkę, wyłączyć Internet i zarzucić plecak na plecy.” Co byś uznała za moment przełomowy, w którym to zrobiłaś?

To było na praktykach wykopaliskowych na Suwalszczyźnie. Rozmawialiśmy o swoich podróżniczych marzeniach i nagle zdałam sobie sprawę z tego, że właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, aby wreszcie to zrobić. Wtedy, na studiach, jeszcze bez stałej pracy, moment był idealny. Podjęłam decyzję, że wyruszam za rok. Dość szybko znaleźli się kompani, a potem było już zwyczajnie za późno, żeby wyhamować to szaleństwo.

A skąd wzięłaś fundusze na realizację tego marzenia?

Nasza podróż była dość niskobudżetowa – w większości przypadków spaliśmy pod namiotem, jechaliśmy autostopem... Fundusze odkładaliśmy z naszych studenckich zarobków przez około rok. Próbowaliśmy szukać sponsorów, rozsyłaliśmy oferty udowadniające, że jesteśmy w stanie zareklamować wszystko, od skarpetek po paszтет. Prawda jednak była taka, że nikt nas nie znał i brakowało nam na koncie podróżniczych sukcesów. Dzisiaj wspominam te nasze próby ze śmiechem. Udało nam się jednak przygotować studencki projekt – podczas wyjazdu zgromadziliśmy sporą bazę fotografii zabytków ze wschodnich muzeów oraz zbior cyfrowych publikacji naukowych. Dzięki temu uczelnia dołożyła cegiełkę do naszych finansów.

Niskobudżetowe podróże gwarantują nieprzeciętne doznania i przygody. Możesz to potwierdzić?

Na pewno! Siłą rzeczy, podczas takiego trybu podróżowania, jesteśmy trochę uzależnieni od miejscowych. Dzięki temu nawiązujemy nowe kontakty, znajomości, możemy nieco bardziej wniknąć w nową dla nas kulturę, bardziej niż oglądając kraj zza okna autokaru. Poza tym samo spanie pod namiotem jest serią nieprzeciętnych przygód – zdarzały nam się piękne widoki o poranku, dziwne odgłosy w nocy, niespodziewane pobudki.

Dlaczego jako główny kierunek swoich podróży wybierasz kraje na wschodzie?

Szczerze? Nie wiem. W zeszłym roku o to samo zapytał mnie znajomy na Białorusi – co ja tu robię, skoro jako obywatelowi UE łatwiej byłoby mi wyjechać na weekend np. do Hiszpanii lub Francji. Lubię wschodni folklor, od Podlasia po Mongolię, uwielbiam tamtejszych ludzi. Nie czuję zachodu, przynajmniej na razie. Poza tym jest coś takiego gdzieś z tyłu głowy, że jak człowiek już dostanie tę wizję, przejdzie wszystkie kontrole, wytłumaczy się policji i pokona inne przeszkody, to czuje jakąś dziwną satysfakcję. Ludzi od wieków fascynowało to, co niedostępne. Na wschodzie potrzeba więcej czasu, więcej cierpliwości i samozaparcia, aby dostać się w niektóre zakątki. I to przyciąga jak magnes.

Podróżując przez Rosję bardzo często slyszalaś „nie piereżywajcie, wsio normalno”. W jakiej najbardziej dziwnej sytuacji zetknęłaś się z tym stwierdzeniem?

Te słowa padły, gdy podwoziło nas trzech Buriatów na Olchonie, bajkalskiej wyspie. Ich podróż była nietypowa, bo odbywali swego rodzaju pielgrzymkę po świętych miejscach. W każdym takim punkcie zatrzymywali auto, aby napić się z przodkami, więc stan ich trzeźwości był różny. W pewnej chwili, gdy nasz trzeszczący samochód wtaszczył się na górkę, zgasł silnik i stoczyliśmy się w tył, kończąc przejażdżkę w rowie. Zestresowało nas to trochę, ale Buriaci wzruszyli ramionami i ze stoickim spokojem stwierdzili, że... zwyczajnie skończyła się benzyna. Ale „wsio normalno”, zaraz dolaliśmy do baku i ruszyliśmy dalej.

Utarło się przekonanie, że na wschodzie na każdym kroku rabują, biją i gwałcą. Czy podczas tej podróży przeżyłaś momenty strachu?

Cała nasza podróż obala to przekonanie. Nieprzyjemne sytuacje można naprawdę policzyć na palcach. W Rosji momentem chyba największego strachu była pewna noc na przedmieściach miasteczka, w którym trwała impreza. Słyszałyśmy z koleżanką, że dookoła chodzą ludzie, gdzieś w lesie ktoś wrzeszczał. Nie spałyśmy wtedy zbyt dużo. Zagrożenie ze strony ludzi jednak nigdy nie jest najgorsze, bo zawsze można jakoś zareagować. Najbardziej przstraszyła nas pewna dziwna sytuacja nad Bajkałem, gdy na pustej plaży znaleźliśmy samotne ognisko bez właściciela, a tuż obok różne inne dziwne oznaki czyjejs obecności. Rzecz się działa o zmierzchu, co potęgowało irracjonalny lęk przed niewidzialnym. Na szamańskiej wyspie, nad świętym jeziorem człowiekowi przychodzą do głowy najbardziej absurdałne myśli.

„Irkuck stał się moim ulubionym rosyjskim miastem.” Określiłaś też go jako „skrzyżowanie miasta i wioski”. Dlaczego?

Z powodu architektury. Irkuck z jednej strony jest sporym, nowoczesnym miastem, ale wystarczy jeden spacer, aby zobaczyć ślady jego starszej, drewnianej zabudowy. W Irkucku mieszkaliśmy u gospodarzy w dziesięciopiętrowym bloku, a po drugiej stronie ulicy stały drewniane, niemal stuletnie chaty rodem z małej syberyjskiej wioski zagubionej w tajdze. Kiedyś całe miasto miało architekturę z drewna, lecz kilka pożarów na zawsze zmieniło jego wizerunek. Smutne jest to, że i dziś wiele zabytków płonie. Brak inwestycji w historyczne budynki powoduje, że chylą się one ku upadkowi i każdy „przypadkowy” wypadek jest właścicielom działki bardzo na rękę. Niedługo zabraknie w Irkucku starych domów z rzeźbionymi detalami i malowanymi okiennicami.

Czy to prawda, że za Uralem zaczyna się inny kraj, pomimo że to nadal Rosja?

Często slyszalałam opinie, że Syberia i Rosja to dwie różne krainy. Widać wyraźne dysproporcje w rozwoju dróg i całej infrastruktury między wschodem a zachodem. Wielu mieszkańców Syberii mówiło mi, że najchętniej postawiliby granicę na Uralu i nie oddawali Moskwie pozyskiwanych tu surowców. Poza tym, Rosja to cała mozaika kulturowa, co jest najjaskrawiej widoczne właśnie na Syberii, gdzie do dziś mieszkają Buriaci, Jakuci, Czukczowie, Tuwińscy... Inne tradycje, inne wierzenia, inny świat.

Wiele jest anegdot i historii dotyczących Kolei Transsyberyjskiej. Czy warto wsiąść do takiego pociągu, który jedzie kilka dni i sprawdzić na własnej skórze jak to wygląda?

Warto jest to przeżyć, choć nie należy oczekiwać fajerwerków. To po prostu życie na małej przestrzeni z przypadkowymi ludźmi, przy nieotwierających się oknach. Dla Rosjan jest to coś zwyczajnego, po prostu w miarę tani środek transportu. Dla nas, podróżnych z Polski, jest to swoista egzotyka, gdyż u nas zwyczajnie nie ma takich odległości, które można by przemierzać kilka dni popijając czaj z samowara. Mnie najbardziej zszokowało (pozytywnie!), że te pociągi, mimo przejechania tysięcy kilometrów, są punktualne. Podróżni z Polski mogą być zaskoczeni.

Co czułaś, gdy po raz pierwszy zobaczyłaś Bajkał?

Miałam to szczęście, że zobaczyłam go w niezwykłych okolicznościach – wędrowaliśmy przez góry i Bajkał nagle wyłonił się na horyzoncie. Przez dłuższy czas wszyscy po prostu w milczeniu na niego patrzyliśmy. Trudno to opisać, ale bardzo szybko można zrozumieć, dlaczego miejscowi nazywają to jezioro świętym morzem.

Wokół Bajkału wszędzie można spotkać „serge” i „oboo”. Co to takiego?

Obie te konstrukcje wyznaczają święte miejsca. Na Syberii wciąż można spotkać wyznawców religii szamanistycznych, w których wierzy się w duchy przodków. Mogą one mieć wpływ na nasze życie, a najłatwiej spotkać je na szczytach wzgórz lub rozdrożach dróg. W takich miejscach ustawia się święte słupy „serge”, które odwołują się jednocześnie do mitycznego drzewa łączącego trzy światy: boski, ludzki oraz świat zmarłych. Przy takich miejscach dobrze jest zostawić duchom jakiś podarunek – drobne pieniądze, papierosy, cukierki, trochę mleka lub alkoholu. „Serge” często są obwiązane kolorowymi wstążkami – jest to wpływ buddyzmu, również obecnego w Buriacji. „Oboo” pełnią podobną funkcję. Są to stosy kamieni, ułożone jeden na drugim, od największego do najmniejszego. Często układane są w lasach na świętych polanach lub w górach, dzięki czemu nie tylko oznaczają święte miejsce, ale przy okazji wytyczają szlak dla wędrowców.

A czy kąpałaś się w Bajkale?

Oczywiście! Było zimno, tyle powiem.

Podczas swojej podróży odwiedziłaś też wyjątkową miejscowość – Wierszynę. I to w towarzystwie posłów...

To jedna z zabawniejszych historii. Wierszyna jest polską wioską pośrodku syberyjskiej tajgi. Gdy byliśmy w okolicy, akurat upływało sto lat od początku budowy tamtejszego kościoła, o który mieszkańcy bardzo długo walczyli z władzami – najpierw bolszewickimi, potem komunistycznymi. Czasu do uroczystości było niewiele, ale postanowiliśmy spróbować tam dojechać. Droga prowadząca do Wierszyny była pusta, niemal kompletnie nic nie jeździło. Żeby zwiększyć swoje szanse w tej autostopowej podróży, musieliśmy się podzielić. Ja oraz koleżanka trafiłyśmy w pewnej chwili na grupę świętujących Buriatów,

którzy za punkt honoru postawili sobie pomóc nam dostać się na polskie święto. Zatrzymali pierwszy nadjeżdżający samochód dosłownie zagradzając mu drogę i niemal na siłę wsadzili nas do środka. Wewnątrz okazało się, że w aucie jedzie oficjalna polska delegacja na czele z konsulem i polskimi posłami. To chyba była nasza najbardziej elegancka podróż – Rosjanie powiedzieliby: „szykarna!”.

W książce napisałaś, że w podróży największą wartością są po prostu spotkani ludzie i ich historie. Czy jest ktoś taki, kogo zapamiętasz do końca życia?

Bardzo dużo osób. Na przykład Lena, która w ogóle nas nie znając, dosłownie zgarnęła nas z ulicy w Kijowie i zabrała do swojego mieszkania. Na przykład Vladik z Nowosybirsk, który po godzinie znajomości opowiedział nam, że żyje z kredytów, których nie spłaca i co jakiś czas zmienia nazwisko kupując fałszywe dokumenty. Na przykład Oksana, Ukrainka, która w Tbilisi założyła kawiarnię i amatorski teatr. Na przykład Sasza, który wiozł nas swoim tirem przez trzy dni i opowiadał o mafijnych układach w rosyjskim biznesie transportowym. Na przykład Dima, strażak z Ułan-Ude, który zabrał nas z trasy do domu i oprowadzał po buddyjskich sanktuariach. Był też Dima z Rostowa, który załatwił nam nocleg w ogrodzie botanicznym, Gruzin Besa, który sam siebie nazywał starym dinozaurem, polskie zakonnice prowadzące przytułek dla bezdomnych w Petersburgu, ksiądz Andrzej ze Sztambułu, który przyjął nas na nocleg, motocykliści spotkani nad Bajkałem... Każda podróż tego typu to cała mozaika ludzi o różnych życiorysach i charakterach.

Mówi się, że podróżowanie autostopem to najlepsza metoda na poznanie kraju, który się odwiedza. Zgadzasz się z tym?

Oczywiście. Kiedy jedziemy autostopem musimy nastawić się na dialog. My zyskujemy transport i kolejną interesującą znajomość, ale musimy pamiętać, że dla kierowcy my też jesteśmy ciekawostką. Dlatego taka wspólna podróż to okazja do wymiany doświadczeń, porównania różnych aspektów krajów, z których pochodzimy. Poza tym, to świetna metoda, aby poznać kraj z perspektywy zwykłych mieszkańców, a nie z telewizji lub muzealnych gablot. Można o bardzo wiele zapytać, a i kierowcy często sami z siebie opowiadają historie swojego życia, bo przed nieznanym, którego pewnie więcej nie spotkają, łatwiej się im otworzyć.

Jedzenie w podróży to bardzo ciekawy temat. Jak było w Twoim przypadku?

Kuskus, ryż i makaron. Raz wymieniliśmy się z Czechami na polentę, ale okazało się, że nie umieliśmy jej prawidłowo ugotować. Nasza podróż trwała pięć miesięcy, więc aby nie zbankrutować, prawie codziennie gotowaliśmy sobie sami, zwykle na ognisku. Doszliśmy do takiej wprawy i tak się do tego przyzwyczailiśmy, że butlę z gazem, która była naszym kołem ratunkowym, wykorzystaliśmy tylko dwa razy – raz z musu, drugi raz z potrzeby luksusu (czyli zagotowania wody na spontaniczną herbatę na poboczu). Oczywiście próbowaliśmy też lokalnych smaków – na Syberii były to pierożki zwane pozy bądź buzy oraz mój ulubiony plow – ryż z warzywami, mięsem i ostrymi przyprawami. Pod względem jedzenia zachwyciła nas Gruzja –

świeżym chlebem, domowym serem i soczystymi pomidorami, a poza tym słynnym chaczapuri i pierożkami chinkali.

Przez pięć miesięcy podróżowałaś w gronie przyjaciół ze studiów na archeologii. Czy będąc w grupie 24 godziny na dobę zdarzały się między wami konflikty? Jak sobie z nimi radziście?

W każdej grupie zdarzają się konflikty, my nie byliśmy wyjątkiem. Wiedzieliśmy jednak, że jeśli zabrnjemy w nich za daleko, to wspólna podróż stanie się koszmarem, dlatego staraliśmy się szybko je rozwiązywać i mówić wprost, co nam nie pasuje. Nasz kolega nauczył nas metody zwanej „gadającym patykiem”. Jest banalnie prosta – wszyscy dyskutanci siadają w kółku i podają sobie patyk. Żelazna zasada mówi, że prawo głosu ma tylko ten, kto go trzyma. Patyk wędruje po kole, co każdemu daje możliwość wypowiedzenia się bez przerywania ze strony innych, a także przemyślenie swoich słów i ochłonięcie z emocji podczas oczekiwania na swoją kolej. U nas to zdało egzamin, bardzo polecam.

Twoja wymarzona podróż nad Bajkał przyniosła Ci więcej radości czy rozczarowań?

Zdecydowanie więcej radości. Nie tylko ze względu na to, że spełniłam swoje marzenie i zobaczyłam Bajkał i wiele innych miejsc. Przede wszystkim przekonałam się, że po prostu się da, a ograniczenia to coś, co stawiamy sobie sami. To była moja pierwsza wielka podróż, która zapoczątkowała inne.

Dziękuję za rozmowę i życzę Ci kolejnych takich podróży.

Dziękuję.

06.01.2019 r.

Z Moniką Radzikowską nad Bajkałem... i nie tylko

Z podróżniczką Moniką Radzikowską – autorką książki „Bajkał tam i z powrotem” mieszkańcy Radzyna spotkali się 13 lutego dwukrotnie. Obydwa spotkania miały bardzo wysoką frekwencję i fascynującą treść. Przed południem w Radzyńskim Ośrodku Kultury odbyły się warsztaty podróżnicze „Zrozumieć świat”, na które zaproszone były dzieci w ramach Ferii z ROK, a wieczorem w Filii nr 2 Miejskiej Biblioteki Publicznej Monika Radzikowska zaprosiła chętnych do wybrania się w głąb Rosji – na Syberię nad Bajkał.

Zrozumieć świat

Na warsztaty przybyło ok. pięćdziesięciorga dzieci: od przedszkolaków po nastolatków, ale podróżniczka, jak się okazało, potrafiła przykuć uwagę, zainteresować tematem wszystkich. Tym bardziej, że przywiozła ze sobą nie tylko wspomnienia z podróży, ale i wiele ciekawych rekwizytów – pamiątek z różnych stron świata. Dzieci wykazywały się dużą aktywnością i wiedzą.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Monika Radzikowska zaprosiła swych gości w różne miejsca, na różne kontynenty: na krótki pobyt wśród Indian w Ameryce Północnej, na Islandię, Bliski Wschód i nad Bajkał na Syberii. Opowiadała o niecodziennych zjawiskach (wulkany, gejzery, zorza polarna), charakterystycznych zwierzętach, ale przede wszystkim – o egzotycznych dla nas tradycjach, wierzeniach i zwyczajach. O

podróżach można było nie tylko słuchać, ale także oglądać piękne fotografie i krótkie filmy, ponadto dotykać charakterystycznych tkanin (jedwabiu oraz wełny, z której powstają dywany), wąchać przyprawy z arabskiego bazaru, zagrać na drumli... Dzieci tworzyły dla siebie indiańskie imiona.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Autostopem i Transsybem

Wieczór w wypełnionej po brzegi czytelnicy Filii nr 2 MBP był poświęcony pięciomiesięcznej podróży, którą Monika Radzikowska odbyła w 2013 r., a której celem był Bajkał. Tę wyprawę opisała w książce „Bajkał tam i z powrotem” wydanej w serii wydawniczej Wojciecha Cejrowskiego „Biblioteka Poznaj Świat”.

Podróżniczkę powitał i przedstawił Robert Mazurek. Monika Radzikowska (z wykształcenia archeolog) pracuje na Zamku Królewskim w Warszawie. W wolnym czasie oddaje się swemu hobby: lubi wędrować w różne miejsca kraju i świata, a swe podróże traktuje jako okazję do bliższego poznania ludzi, ich mentalności, zwyczajów, tradycji, do tego, by „gapić się na wszystkie dziwactwa tego świata”. O swych podróżach opowiada na blogu „W plecaku niesione. Historie zbierane po drodze”.

Na Syberię Monika Radzikowska wybrała się wraz z czworgiem przyjaciół. Już na etapie przygotowań musieli się zmierzyć z dużym problemem, jakim jest uzyskanie wizy rosyjskiej na kilkumiesięczny pobyt, a w trakcie podróży musieli zadbać o tzw. rejestrację, co nie zawsze było prostą sprawą. Nocowali zazwyczaj pod namiotami. Sami sobie gotowali – najczęściej na prowizorycznym palenisku zbudowanym z kilku znalezionych w pobliżu kamieni. Dużą część trasy przebyli autostopem.

Najdłuższy odcinek autostopowy trwał 3 dni, co dało okazję do poznania realiów pracy transportowców za wschodnią granicą. – W Rosji jeździ się wszystkim, co

jest w stanie poruszać się po drodze. Awarie, wypadki, bark benzyny – kierowcy podsumowywali uspokajającym „Nie pierzezywajcie”: urwaną rurę wydechowa podwiązywali sznurkiem, wyciągali samochód z rowu, dolewali benzynę z baku i... w period!

Monika Radzikowska przyznaje, że w Rosji inaczej się traktuje odległości. 100 km dalej to jak za miedzą, a 500 km? – Tyle to ja na ryby jeżdżę – powiedział jej jeden z kierowców. W wielkim kraju żyje się łatwiej oszustom. Podróżniczka opowiedziała o Vladiku, który chwalił się, że on i jego rodzina żyje z oszustw kredytowych. Ma cztery tożsamości, żadnego adresu. Fałszerze dokumentów reklamują się, bez skrępowania podając np. swój numer telefonu.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Podróż Koleją Transsyberyjską z Moskwy do Irkucka (ok. 5 tys. km) zajęła im 4 dni. – Duszno, ciasno – tak wspomina podróż tzw. Transsybem, ale przyznaje, że wybrali najtańszą klasę (bilet za ok. 400 zł), podróżowali w wagonach bez przedziałów, na przykrótkich leżankach. – Wygodne to może nie było, ale jaka okazja do integracji z innymi pasażerami – głównie Rosjanami! – dodaje. Poza tym niespodzianka: Kolej Transsyberyjska jest punktualna!

Bajkał – błękitne oko Syberii

Podróżnicy wysiedli z pociągu w Irkucku. Monika Radzikowska podzieliła się swymi wrażeniami: – Miasto miało kiedyś piękną, zabytkową zabudowę. Obecnie

większość budynków jest bardzo zaniedbana. Często wybuchają pożary, których przyczyn nikt nie docieka, i szybko na miejscu pogorzeliisk w centrum miasta wznoszone są nowoczesne budynki.

Bajkał zwany jest ze względu na swą wielkość (636 km długości, do 79 km szerokości, do 1,6 km głębokości) syberyjskim morzem czy błękitnym okiem Syberii, znajduje się na nim 27 wysp. Monika Radzikowska zabrała słuchaczy na największą z nich i jedyną zamieszkałą – Olchon o powierzchni 742 km², którą zamieszkuje około 1500 mieszkańców, na ogół Buriatów, oryginalnych mieszkańców wyspy wyznających szamanizm. Ze względu na dobre połączenia z Irkuckiem oraz piękno i zróżnicowanie krajobrazu, bogactwo flory i fauny Olchon jest latem licznie odwiedzany przez turystów, którzy znajdują tam otwarte przestrzenie stepów, porośnięte tajgą góry i skaliste przylądki górujące ponad błękitną tonią morza Bajkału. W dodatku mogą posłuchać śpiewających piasków na plażach. Turystyka jest obecnie głównym źródłem dochodu mieszkańców.

Wierzenia i legendy

Na wyspie znajdują się 3 wioski, z których największa to Chuzyr położony w pobliżu przylądka zwanego Skalą Szamanką, za którą ciągnie się piaszczysta plaża. Szamankę można obserwować i fotografować z pewnej odległości, bo podobno emanuje niebezpieczną energią, przed czym ostrzegają specjalne tablice. – Skala Szamanka to według wierzeń Buriatów pałac ducha opiekuna wyspy – wyjaśnia Monika Radzikowska. Na wyspie można spotkać inne obiekty świadczące o szamanizmie: słupy serge z kamieniami ofiarnymi czy stopy kamieni, którymi Buriaci oznaczają miejsca – według nich – nawiedzane przez duchy. Na kamieniach można zobaczyć np. stopy niedopałków papierosów. Buriaci robią pielgrzymki, przy każdym słupie piją wódkę i palą papierosy z duchami przodków. Grupa polskich turystów spotkała taką „pielgrzymkę”, której uczestnicy byli już przy niejednym słupie serge i mieli mocno w czubach od „ofiar”. Monika Radzikowska mówiła też o szamanach, którzy leczą choroby, odnajdując dusze chorych zagubione w zaświatach. Do tego jednak potrzebują wprowadzenia się w trans przy pomocy muzyki specjalnego bębna czy drumli. Inne formy religijności szamańskiej – która tam łączy się z buddyjską – to kolorowe wstęgi na słupach, czaszki zwierząt ofiarnych na pniach drzew.

Monikę Radzikowską szczególnie interesują tradycje, wierzenia, legendy. Dlatego dłużej zatrzymała się w opowieściach o autonomicznej republice Tuwa, graniczącej z Mongolią. Opowiedziała o Iwołgińskim Dacanie, czyli najważniejszym ośrodku rosyjskich buddystów z klasztorem i uczelnią religijną. Jego największa tajemnica to dawny przywódca rosyjskich buddystów Dasza-Dorzo Itigielow. Zmarł w 1927 r., ale jego ciało nie ulega rozkładowi, wręcz robi wrażenie przebywania w głębokiej nirwanie. Podróżniczka opowiedziała legendę podobną do naszej o Giewoncie – o carze Sajanie, który leży jako góra, zbudzi się, gdy jego kraj – Tuwa będzie go potrzebował. Mówiła również, w jaki sposób – według romantycznej legendy – powstały góry Altaj oraz rzeki Katuń i Bij.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Wierszyna – mała Polska na dalekiej Syberii

W tak odległym geograficznie i kulturowo regionie dotarli też do Wierszyny – polskiej wioski na Syberii (100 km na północ od Irkucka), zasiedlonej na początku XX w. przez dobrowolnych emigrantów, głównie z Dąbrowy Górniczej. Do dziś pewna grupa mówi czystą polszczyzną. Działa tam wiejska szkoła z językiem polskim, Dom Polski oraz kościół. Właśnie na setną rocznicę jego poświęcenia, bardzo uroczystie obchodzoną – trafili wędrowcy z Polski do Wierszyny.

W podziękowaniu za ciekawe spotkania Robert Mazurek tradycyjnie już podarował gościowi karykaturę autorstwa Przemysława Krupskiego oraz pamiątkowy medal „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”.

Na 27. edycję „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” zaprosił Burmistrz Radzyna Podlaskiego Jerzy Rębek i Starosta Radzyński Szczepan Niebrzegowski, a także organizatorzy: Radzyńskie Stowarzyszenie „Podróżnik”, oraz Radzyński Ośrodek Kultury. Sponsorami wydarzenia byli: firma drGerard, Spółdzielnica Mleczarnia „Spomlek”, Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych i Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Radzynie Podlaskim. Patronat nad wydarzeniem objął ogólnopolski miesięcznik „Poznaj Świat” oraz portal „Kocham Radzyń Podlaski”.

Anna Wasak
15.02.2019 r.



Fot. Archiwum Roberta Makłowicza

Robert Makłowicz – urodził się w 12 sierpnia 1963 r. w Krakowie. Dziennikarz, podróżnik, autor książek i programów telewizyjnych o tematyce kulinarnej, kulturowej i historycznej. Pochodzi z rodziny o korzeniach polskich, ukraińskich, ormiańskich, węgierskich i austriackich. Jest absolwentem V Liceum Ogólnokształcącego im. Augusta Witkowskiego w Krakowie. W latach 1982–1989 studiował prawo, a następnie historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był publicystą w „Gazecie Wyborczej” (1993-2004) oraz współpracował z tygodnikami „Wprost”, „Newsweek” i „Przekrój”.

Robert Makłowicz pasjonuje się historią, zwłaszcza dziejami Europy Środkowej w dobie panowania Habsburgów, szczególnie zaś dwóch ostatnich władców tejże dynastii – cesarza Franciszka Józefa i cesarza Karola. Pozostałe zainteresowania nazwać można szeroko rozumianą konsumpcją – od literatury (ulubieni autorzy: Joseph Roth i Andrzej Bobkowski), poprzez muzykę (od punk rocka po Bartóka, ze szczególnym uwzględnieniem pieśni ludu Csángó), po destylaty owocowe (zwłaszcza z gruszek Williams, morwy, pigwy, śliwek, jabłek, moreli oraz mieszane), wina (koniecznie grüner veltliner i pinot noir) oraz kuchnię (przedziwna predylekcja do mamałygi z bryndzą oraz skwarkami z wędzonej słoniny).

W Telewizji Polskiej w latach 1998-2008 prowadził popularny cykl reportaży „Podróże kulinarne Roberta Makłowicza” a w latach 2008-2017 program „Makłowicz w Podróży”. Programy te znacząco odbiegały od formuły tzw. „gotowania na ekranie”. W każdym przedstawiana była kuchnia z innego zakątka świata. Jak sam o sobie mówi: „Jestem podróżnikiem z pasji, ale nie jestem prawdziwym kucharzem, lecz amatorem”. Robert Makłowicz będąc w odwiedzanym miejscu, opowiada o ich historii, warunkach tam panujących, ciekawostkach dotyczących kraju, w którym się znajduje oraz gotuje regionalne potrawy. Od 2017 r. współpracuje z kanałem telewizyjnym Food Network, gdzie możemy oglądać jego nowy program pt. „Makłowicz w drodze”.

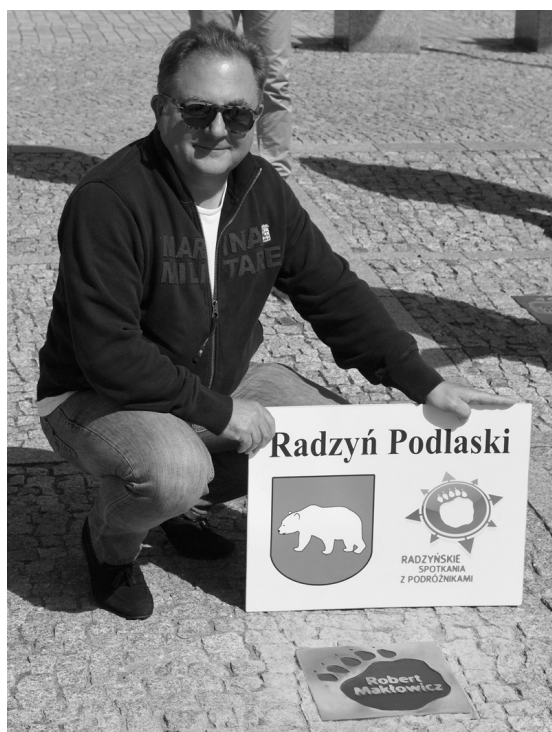
Mieszka w Krakowie i w jednej z wiosek na półwyspie Pelješac w chorwackiej Dalmacji.

Trzeba być sobą, nie warto się na siłę podlizywać

Robert Makłowicz – dziennikarz, podróżnik, autor książek i programów telewizyjnych o tematyce kulinarnej, kulturowej i historycznej – odwiedził nasze miasto 26 maja w ramach „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”. O godz. 15.00 odsłonił swoją tabliczkę na Skwerze Podróżników. Godzinę później spotkał się z mieszkańcami Radzyna w sali widowiskowo-kinowej Radzyńskiego Ośrodka Kultury.

„Teraz już będę musiał tu przyjeżdżać”

– Czuję się niezmiernie zaszczycony – zarówno z zaproszenia jak z tego, że mnie tu umieszczono na wieczną rzecz pamiątkę i to w doborowym towarzystwie – mówił podróżnik tuż po odsłonięciu swojej tabliczki na radzyńskim Skwerze Podróżników. – Cieszę się, że padło na wasze miasto, bo dzięki temu wiem, że tutaj wrócę. Podlasie to skarbnica kulturowo-kulinarna. Wiedziałem o sławnym serze, ale nie wiedziałem, że jest tu pałac – i to aż taki! Teraz już wiem, sami chcieliście – teraz już będę musiał tu przyjeżdżać – zapewniał Robert Makłowicz.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Na spotkanie przybyli, obok liczego grona mieszkańców, przedstawiciele władz samorządowych: starosta radzyński Szczepan Niebrzegowski, wiceburmistrz Sławomir Lipski i przewodniczący Rady Miasta Adam Adamski.

Starosta wręczył podróżnikowi pamiątkowy medal „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” wraz z certyfikatem o numerze 45. Przyznał, że jest pasjonatem programów Roberta Makłowicza. – Gdy w weekend włączę telewizor, a pan gotuje w pięknych plenerach, tworzy się wspaniała nastrój i obiad smakuje lepiej – mówił Szczepan Niebrzegowski. Jako gospodarz „Radzyńskiej Krainy Serdeczności” zaprosił do stworzenia programu z gotowaniem na tle radzyńskiego Pałacu Potockich.

„Nie jestem zawodowym kucharzem, pasjonuje mnie historia”

Gdy Robert Mazurek powitał Roberta Makłowicza w Radzyńskim Ośrodku Kultury słowami: – Miło nam Pana gościć w Radzynie – ten odpowiedział: – Mi jest bardziej miło. Jak nie wierzycie, możemy się wziąć na rękę. – Siłowania nie było, za to była wspaniała atmosfera – swobodna, pełna humoru, gość pięknym – jak zwykle – językiem opowiadał o potrawach, historii, kulturze, w zaskakujący sposób puentował swoje wypowiedzi.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Robert Makłowicz kilkakrotnie podkreślał, że nie jest zawodowym kucharzem, pasjonuje go historia, a kuchnia, która jest efektem historii i kultury, stanowi dla niego pretekst do opowiadania o świecie. Wyznał, że szczególnie fascynuje go

kultura – w tym kuchnia – regionalna, które są efektem wielowiekowych tradycji i doświadczeń danej społeczności. – Potrawy to element kultury danego regionu, a jedzenie to jedna z najlepszych form poznania kultury lokalnej, a nie ma większego skarbu jak skarb małej ojczyzny – podkreślał. W tym kontekście zachwycał się Podlasiem. – Podlasie jest skarbcem, bo zawsze należało do Polski; aby się wykształciła tradycja lokalna, w tym kuchnia regionalna, ludzie muszą od wieków żyć na tej ziemi, muszą z niej czerpać mądrość przez wiele pokoleń. Udowadniał, że zarówno uroda Polek, inteligencja Polaków jak i dania polskiej kuchni to efekt wielkiej różnorodności („skundlenia” – a w jego ustach nie miało to słowa znaczenia negatywnego), jaka panowała w I Rzeczypospolitej. – Stanowiliśmy imperium – państwo wielu narodów, kultur, religii; w skład Rzeczypospolitej wchodziły nie tylko ziemie Polski i Litwy, ale również obecnej Białorusi, Ukrainy, zamieszkiwali ją również Tatarzy, Ormianie, Żydzi, Czesi, Niemcy, Szwedzi. Mamy to w genach – podkreślał Robert Makłowicz, który sam ma korzenie ormiańskie. Wskazywał, że potrawy uważane za tradycyjnie polskie (bigos, pierogi, barszcz, gołąbki, mazurki wielkanocne) mają różne pochodzenie, więc dopasowanie popularnych dań do kraju jest niemożliwe.

Rozpoczął od studiowania prawa w stanie wojennym, ale wytrzymał tam, dopóki dominowały przedmioty związane z historią, a potem... – Nie byłem w stanie wytrzymać prawa administracyjnego w wydaniu PRL-owskim – tłumaczył. Następnie rozpoczął studia historyczne, jednak swej przyszłości nie widział ani w szkole, ani w archiwum, więc gdy po 1989 r. znikła groźba pójścia do Ludowego Wojska Polskiego, zakończył 10-letni okres studiów. Wprawdzie nie zwieńczył ich dyplomem, ale wiedza i pasja pozostały, o czym można się przekonać oglądając jego programy telewizyjne – i czego doświadczyli obecni na spotkaniu. Odpowiedź na każde pytanie zawierała ciekawą wycieczkę historyczną.

Jakim daniem uwieść kobietę? Smacznym!

Tym razem współautorami spotkania byli internauci, którzy wysłali swoje pytania poprzez media społecznościowe. Wybrane – zapisane zostały na drewnianych widelcach (jako odniesienie do tematu spotkania „Świat na widelcu”).

A były one bardzo interesujące, czasem – zaskakujące. Dociekliwy internauta chciał znać danie, którym najskuteczniej można uwieść kobietę. Odpowiedź była prosta i zdecydowana: – Smacznym. Są różne gusta, nie radziłbym proponować czegoś ryzykownego – odpowiedział podróżnik i dodał, że ważnym atutem każdego dania jest własnoręczne jego wykonanie i wspólne konsumowanie przy rodzinnym stole, co ma wartość jednoczącą. – Co zostanie podane, jest sprawą drugorzędną – na dowód podał własny przykład: – Od prawie 30 lat, gdy tylko jestem w domu, to gotuję. Mam jedną żonę.

Pytanie o najdziwniejsze dania, jakie udało mu się zjeść, potraktował z dystansem. Przyznał, że zdarzyło mu się jeść różne potrawy – bycze jaja, smażone tarantule czy świnki morskie. Jednak nie zaliczył tego do dań wykwinnych czy wyszukanych. – Takie potrawy nie są spożywane ze względu na walory smakowe.

- Ludzie je jedzą nie dlatego, że lubią, ale z głodu. W Azji miejscowi jedzą pająki, gdy jakiś naiwny turysta za to zapłaci. Poza tym to, co się je w danym regionie, zależy od różnych zwyczajów. Często za wyznacznik normalności bierzemy to, co dla nas typowe. Chińczycy nie jedzą chleba ani nabiału, bo nie mają enzymu do trawienia mleka.

Szokujące danie? Rosół z ziemniakami!

- Czy po tylu latach zajmowania się kuchnią coś jeszcze Pana zadziwia, czy też smaki świata są przewidywalne? - padło kolejne pytanie. Odpowiedź zaskoczyła wielu słuchaczy: - Nie sztuką jest wsiąść w samolot, polecieć na drugi koniec świata i tam dziwić się wszystkiemu. Sztuką jest znaleźć coś niezwykłego obok siebie - wyznał, że odkryciem i zdziwieniem był dla niego... rosół z ziemniakami, który jadł podczas pobytu na ziemi łódzkiej. - To było niezwykle i szokujące! - stwierdził i zdziwił się, gdy radzyńska publiczność potwierdziła, że u nas to popularne danie.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Pytany o ulubione danie, odpowiedział, że nie ma takiego, za to coraz bardziej ceni prostotę - także na stole. - Coraz mniej imponują mi rzeczy skomplikowane, złożone, wielowarstwowe - zarówno na talerzu, we frazie, w malarstwie i architekturze...

Przy okazji poruszył problem marnowania jedzenia - także w kontekście historycznym. - Widok za dużej ilości jedzenia mnie smuci, nienawidzę marnotrawstwa jedzenia. Niestety, jako społeczeństwo jesteśmy pod tym względem w czołówce. Wydaje mi się, że bierze się to z tego, że dostatek to jest kwestia

ostatnich kilkunastu lat. Ale mamy w genach robienie zakupów na zapas. A może jest to kwestia pokazania, że kupuję dużo, bo mnie na to stać? Reguła jest taka, że im bogatsze społeczeństwo, tym mniej żywności marnuje.

Skrytykował przechowywanie pieczywa w workach foliowych, przez co traci chrupkość, staje się gąbczaste: – Plastik i pieczywo to totalne nieporozumienie.

Na planie nie ma żadnych skandali

Zapytany o zainteresowanie branżą winiarską, również nie odmówił sobie wycieczek historycznych. – Wino jest jednym z filarów cywilizacji; chleb i wino to symbole chrześcijaństwa. Wskazał, że Europa pod względem używanych trunków dzieli się na 3 strefy: wódki, piwa i wina. Wpływy wschodnie wepchnęły nas w strefę wódki. Przypomniał, że w Polsce przed wiekami mieliśmy inny klimat: w X w. polskie miasta były obrosnięte winnicami, które uprawialiśmy do XVII w., potem była tak surowa zima, że Bałtyk zamarzył, winorośl wymarżała. – Teraz się znowu klimat zmienia, wracamy do uprawy winorośli, zmienia się też styl konsumpcji. Picie wina to misterium, oddziałuje na wszystkie zmysły – pijemy nosem, oczami, ważny jest widok, zapach – jeśli kieliszek jest nieprzezroczysty, nie widzimy, co jest w środku, jeśli źle ukształtowany – nie czujemy zapachu tak intensywnie – tłumaczył ze znanstwem.

Zdradził również tajniki nagrywania programów: czy jest dużo powtórek, czy potrawy nie przypalają się na planie. – Muszę państwa zawieść – na planie nie ma żadnych skandali. Zawsze mamy za mało czasu, choć nagranie trwa od rana do kolacji. Na mnie ciąży niezwykła odpowiedzialność, nie powtarzamy nagrań. Pomaga mi w tym wieloletnie doświadczenie, wiem, czy przepis uda mi się zrealizować czy nie. Muszę ugotować tak, żeby się 6-osobowa ekipa najadła.

Memy sprawiają mi przyjemność

Mówił też o memach na swój temat. – Oglądam je z prawdziwą przyjemnością. Żarty są życzliwe i dobrotliwe. Jeśli ludzie się śmieją, to znaczy, że oglądają i lubią moje programy. Cieszy mnie fakt, że robią to młodzi ludzie. To jest bardzo budujące i zachwycające, zwłaszcza, że nie ulegam modom językowym, staram się mówić starannie po polsku, i to nie przeszkadza ludziom wychowanym w subkulturach. Nie warto się na siłę podlizywać, trzeba być sobą.

Na zakończenie spotkania Robert Mazurek wręczył gościowi tradycyjny upominek – karykaturę autorstwa Przemysława Krupskiego. Starosta Radzyński Szczepan Niebrzegowski – ser ze „Spomleku” – sztandarowej radzyńskiej firmy, o której Robert Makłowicz wspominał podczas odsłaniania swej tabliczki na Skwerze Podróżników. Przypomniano również, że przed 10 laty Robert Makłowicz jako juror konkursu „Smaki Lubelszczyzny” docenił danie przygotowane przez uczniów radzyńskiego ZSP: gęś z jabłkami antonówkami, konfiturą z róży i jarzębiny i puree z grochu z kapustą kwaszoną z rodzynkami i miodem. Takie królewskie danie podano w Wohyniu królowi Władysławowi Jagielle, gdy wędrował z Krakowa na Litwę.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Na 28. edycję „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” zaprosił Burmistrz Radzyna Podlaskiego Jerzy Rębek oraz Starosta Radzyński Szczepan Niebrzegowski, a także organizatorzy: Radzyńskie Stowarzyszenie „Podróżnik” i Radzyński Ośrodek Kultury. Sponsorami wydarzenia byli: firma dr Gerard, Spółdzielnica Mleczarnia „Spomlek”, Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych i Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Radzynie Podlaskim. Patronat nad wydarzeniem objął ogólnopolski miesięcznik „Poznaj Świat” oraz portal „Kocham Radzyń Podlaski”.

Anna Wasak
17.06.2019 r.

Podróżując staram się zapamiętywać smaki

Wywiad Roberta Mazurka z podróżnikiem, autorem książek i programów telewizyjnych Robertem Makłowiczem

Kiedy zainteresował się Pan kuchnią tak na poważnie?

Zacznijmy od tego, że nie jestem zawodowym kucharzem. Mimo to swoją przygodę z gotowaniem rozpocząłem dość wcześnie; było to koniec szkoły podstawowej – początek liceum. Pamiętam, że w czasach mojego dzieciństwa gotowanie zastępowało mi podróżowanie. Czytałem książki kucharskie z różnych krajów i wyobrażałem sobie, jak tam jest. Marzyłem, aby kiedyś tam pojechać i spróbować tych wszystkich potraw. Zorientowałem się też, że Pan Bóg nie obdarzył mnie żadnym innym talentem, a gotowanie było dla mnie formą wyrażania samego siebie. W moim domu zawsze przywiązywało się dużą wagę do jedzenia i w tym upatruję początku swojej pasji.

Lubi Pan bardziej gotować z książką kucharską w ręku i zgodnie z przepisem czy raczej w kuchni Pan eksperymentuje?

To zależy od tego, co chcę ugotować. Najczęściej w domu przygotowuję potrawy na podstawie doznanych wrażeń. Podróżując staram się zapamiętywać smaki, by później do nich wracać. Na początku nie wychodziło mi to, ale po pewnym czasie doszedłem do wprawy. Tę technikę gotowania polecam wszystkim. Rozwija ona nie tylko umiejętności kulinarne, ale też wyobraźnię. Z kolei jeśli chcę zrobić precyzyjnie danie, które np. podano Balzacowi w czasie kolacji z Panią Walewską, to robię je według przepisu. Na szczęście gotowanie nie jest pieczeniem biszkoptów ani cukiernictwem, gdzie należy niezwykle precyzyjnie wszystko odmierzać, bo inaczej nie wyjdzie.

W obecnych czasach gotowanie jest bardzo modne, ale gdy Pan wybierał swoją drogę zawodową, pójście do szkoły kulinarnej było degradacją społeczną. Dlaczego w ogóle zajął się Pan gotowaniem?

Od samego początku gotowanie było dla mnie pretekstem do mówienia o innych kulturach, środkiem do poznawania różnych kultur. Kuchnia jest bardzo ważnym elementem każdej kultury lokalnej i to właśnie w niej tkwi siła kulinariów. Nie ma czegoś takiego jak kuchnia polska, niemiecka czy francuska. One są zbiorami lokalnych kuchni. Inaczej gotuje się na Podlasiu i Kaszubach, a jeszcze inaczej na Podhalu. Zająłem się gotowaniem, gdyż dzięki niemu mogę poznawać i przybliżać wszystkim różne regiony świata. Jak jadę do Austrii czy Francji, to nie robię programu o całym kraju, tylko o konkretnych regionach, np. o Tyrolu, Styrii albo Langwedocji.

Jest coś, czego na pewno by Pan nie zjadł?

Generalnie nie, wszystko zależy od tego jak się przyrządzi konkretne danie. Nie przepadam tylko za jedzeniem robaków. Próbowałem ich w Kambodży, jednak przekonałem się, że tam nikt tego normalnie nie jada. Wszystko jest zaaranżowane pod turystów, którzy myślą, że jest to ich ulubione jedzenie.

Jak zaczęła się Pana przygoda z kulinarnymi programami telewizyjnymi?

Na początku pracowałem w krakowskim dodatku „Gazety Wyborczej”, gdzie pisałem recenzje kulinarne. W pewnym momencie wydawca wpadł na pomysł zrobienia programu telewizyjnego. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, ale okazało się, że nie boję się kamery. Później dostałem propozycję robienia programów kulinarnych dla TVP, które szły w porannym paśmie drugiego programu. Następnie zwróciła się do mnie Ewa Wachowicz, która zaprosiła mnie do swojego programu jako gościa. Oczywiście, mój udział w nim ograniczył się do gotowania, po czym zaproponowała mi robienie programów kulinarnych. Zgodziłem się, ale pod warunkiem, że będziemy je kręcić w plenerze. Formuła spodobała się telewidzom, dlatego trwa to już blisko 20 lat.

Najciekawsze miejsce, które odwiedził Pan ze swoimi programami to...

Z mojego punktu widzenia ciekawość miejsca nie polega na tym, że wsiada się do samolotu i leci na koniec świata, gdzie człowieka wszystko zachwyca, bo jest inne, bo nigdy tam nie był. Moim zdaniem najciekawiej jest, gdy w nieodległej okolicy odnajdziemy coś nowego, fascynującego. Wiem, że jak pojedę do Indonezji i pójdę do dżungli, to wszyscy będą się tym zachwycać. Jednak dla mnie przyjemniej jest pojechać np. w góry pomiędzy granicami Polski, Słowacji, Rumunii i Węgier. Gdy po raz pierwszy pojechałem tam z kamerą, to przez cały czas chodziłem z otwartą buzią. A to całkiem niedaleko. Takie miejsca bardziej mnie interesują, są dla mnie zdecydowanie ciekawsze.

A czy są takie miejsca, o których Pan wie, że nigdy tam nie pojedzie?

Nie pojedę do Stanów Zjednoczonych, dopóki będą tam obowiązywać wizy. Kiedyś przyrzekłem sobie, że jak PRL upadnie, to zawsze będę głosował (choćaby uczyniłem to dzisiaj w Radzynie, oddając swój głos w wyborach do Parlamentu Europejskiego), tak samo przyrzekłem sobie po tym, jak po raz pierwszy przechodziłem procedury wizowe do Ameryki, że nie będę tam jeździł, dopóki one obowiązują. To nie chodzi o to, że trzeba mieć wizę – byłem w wielu takich krajach – tylko nie zgadzam się na te wszystkie procedury. Dlatego dopóki w USA będą wizy, to mnie tam nie będzie.

Oglądając Pana programy, zawsze zastanawiałem się, co po nagraniu dzieje się z przygotowanymi daniami.

Nagrywając programy bardzo często robimy to pod presją czasu. Dlatego najczęściej jemy tylko śniadanie i pracujemy do wieczora. Z tego powodu po skończonej pracy siadamy i po prostu wszystko zjadamy. Bardzo często jest to nasz jedyny posiłek w środku dnia.

Gwiazdy telewizyjne przychodzą i odchodzą, a Pan trwa. Jak Pan to robi?

Może chodzi o to, że ja niczego nie udaję. Telewizja jest moim hobby, a ja nie muszę w niej występować. Nawet staram się nie gościć w programach, które wydają się z mojego punktu widzenia mało interesujące. Nie występuję w telewizji tylko dla samego pokazywania się.

Zawodowo zwiedza Pan świat, a co Pana relaksuje prywatnie?

Coroczne wyjazdy do Chorwacji, gdzie mam swój drugi dom. Już od ładnych paru lat na około dwa miesiące w roku jeżdżę do Dalmacji i wówczas nie ma mnie dla nikogo. Oczywiście, z wyjątkiem mojej najbliższej rodziny i przyjaciół. Odcinam się tam od wszystkiego i ładuję akumulatory przed dalszą pracą.

W ten sposób płynnie przeszliśmy do Pana ostatniej książki. Zapewne nie każdy wie, dlatego wyjaśnijmy, gdzie znajduje się Dalmacja?

Dalmacja rozciąga się wzdłuż Adriatyku w Chorwacji. Rozpoczyna się od wyspy Pag i ciągnie się aż za Dubrownik.

Dalmacja smakuje jak...

Morze Śródziemne; a na pewno dużo silniej niż Polska: powietrze pachnie niezwykle intensywnie piniami, rozmarynem i tymiankiem.

Dalmacja to Pana miłość od pierwszego wejrzenia czy to przychodziło z czasem?

Zdecydowanie od pierwszego wejrzenia. Po raz pierwszy pojechałem tam późno, bo dopiero w 1995 r. Wcześniej było trudno wyjechać do Jugosławii, a jak upadł PRL, to nadrabiałem inne zaległości. Następnie przysła wojna i rozpad Jugosławii. Ale gdy już tam pojechałem i zobaczyłem Adriatyk i te wyspy, to po prostu zwariowałem. Może wzięło się to z tego, że Kraków – w którym przez większość roku mieszkam – i Dalmacja, w okresie zaborów Polski, znajdowały się w tym samym państwie. Dowodem na to jest chociażby głębokość Kopalni Soli w Wieliczce, która nie jest mierzona od Morza Bałtyckiego tylko od Adriatyku.

Do kogo kieruje Pan swoją książkę? Do osób, które znają Dalmację, czy do tych, które chcą ją poznać?

Do jednych i do drugich. Jest to książka głównie kucharska, w którym jest określone tło podróżnicze.

We wstępie do książki poruszył Pan ciekawy wątek oczekiwań turystów, odwiedzających słoneczną Chorwację, stęsknionych za rybami. A Pan radzi jeść wędzony boczek...

Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Pokolenie naszych dzieci jest najprawdopodobniej ostatnim, które je dzikie ryby. Świat jest potwornie przelowiony, a w szczycie sezonu te prawdziwe, świeżo złowione, są potwornie drogie. Często zdarza się, że podawane są nam ryby importowane. Jak chce się w Dalmacji zjeść porządne ryby, to należy pojechać tam nie w lipcu i sierpniu. Stąd też w książce znalazło się mnóstwo innych przepisów, chociażby te z wędzonym boczkiem w roli głównej.

Mieszka Pan w Dalmacji i Krakowie. To właśnie tam jest Pana dom czy jednak w Polsce?

Dom to jest język, dlatego mój dom jest przede wszystkim w Polsce. Ale to nie oznacza, że w Dalmacji nie czuję się jak u siebie.

A jak wygląda Pana dzień w Dalmacji?

Będąc tam bardzo dużo piszę. W ogóle bardziej wolę pisać niż robić programy telewizyjne. W Dalmacji zawsze wstaję wcześnie rano, bo później jest gorąco. Wypijam kawę, idę popływać, wypijam drugą kawę i zjadam lekkie śniadanie. Później biorę sobie stoliczek i idę pod drzewo – najczęściej migdałowca – i piszę. Gotuję obiad i idę nad morze. A wieczorem spotykamy się ze znajomymi w restauracji albo rozpalamy sobie grilla. Generalnie w Dalmacji odpoczywam po bardzo intensywnej części roku.

Czego Dalmacja może nauczyć się od Polski, a czego Polska od Dalmacji?

Polakom na pewno brakuje luzu, takiego południowego stylu życia. Z kolei Dalmatyńczykom brakuje naszej konkretności, dotrzymywania słowa i pracowitości. Tam jest „maniana” – wszystko jest jutro. Z kolei my często jesteśmy zbyt poważni. Gdyby dało się to wypośrodkować, byłoby wspaniale.

Na koniec naszej rozmowy proszę zdradzić swoje najbliższe plany kulinarno-podróżnicze?

Właśnie zacząłem pisać nową książkę, która tym razem będzie dotyczyła Azji. Myślę też o publikacji niezwiązanej z kulinariami, tylko tym razem będzie to beletrystyka. Ponadto przez cały czas można oglądać mój program na kanale Food Network, gdzie w najbliższym czasie wyemitowane zostaną odcinki z Ukrainy. A za chwilę jedziemy do Kazachstanu.

Bardzo dziękuje za wywiad.

Ja również dziękuję za miłą rozmowę i za zaproszenie do Radzyna Podlaskiego.

26.05.2019 r.

Kalendarium „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” (2012-2018)

Edycja	Podróżnik	Temat, termin i miejsce spotkania
	Imprezy towarzyszące „Radzyńskim Spotkaniom z Podróżnikami”	
1.	Michał Kruszona	„Uganda. Jak się masz, muzungu?” 21 lipca 2012 r. Biblioteka Pedagogiczna w Radzynie Podlaskim
2.	Robert Maciąg	„Świat przygody rowerowej” 21 września 2012 r. Sala widowiskowo-kinowa ROK
3.	Jarosław Kret	„Planeta według Kreta” 7 grudnia 2012 r. ILO w Radzynie Podlaskim
4.	Stefan Czerniecki	„Śladem szeptu amazońskiego potoku” 8 marca 2013 r. MBP w Radzynie Podlaskim
5.	Arkady Radosław Fiedler	„Podróżnicze i kolekcjonerskie pasje rodzinne” 18 czerwca 2013 r. ZPO w Woli Osowińskiej ILO w Radzynie Podlaskim
6.	Tadeusz Chudecki	„Ze mną na koniec świata” 8 listopada 2013 r. ILO w Radzynie Podlaskim Filia nr 2 MBP w Radzynie Podlaskim
7.	Anna Świątek	„Japonia w czterech porach roku” 27 grudnia 2013 r. „Kofi&Ti” w Radzynie Podlaskim
8.	Marek Pindral	„Chiny od podszewki” 13-14 lutego 2014 r. Biblioteka Pedagogiczna w Radzynie Podlaskim Sala widowiskowo-kinowa ROK
9.	Barbara Dmochowska	„Australia” 5 czerwca 2014 r. Sala balowa pałacu Potockich w Radzynie Podlaskim
	Warsztaty podróżnicze „Down under – czyli co słycać w Australii?” z uczniami SP nr 2 w Radzynie Podlaskim (6 czerwca 2014 r.)	
10.	Krystyna Choszcz	„Moja Afryka” 24 lipca 2014 r. Izba Regionalna w Białej k. Radzyna Podlaskiego
	„Afrykański Tydzień w Radzynie Podlaskim” z udziałem dziecięcego zespołu „Freespirit” z Moree w Ghanie (21-28 lipca 2014 r.)	

11.	Wojciech Cejrowski	„Ale Meksyk!” 25 września 2014 r. ILO w Radzynie Podlaskim
12.	Tomasz Owsiany	„Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie” 16 stycznia 2015 r. Radzyńska Izba Regionalna (pałac Potockich)
	Wystawa fotografii Tomasza Owsianego pt. „Madagaskar - niecodzienna codzienność prowincji” (12 stycznia - 13 lutego 2015 r.)	
13.	Aleksander Doba	„Kajakiem przez Atlantyk” 21-22 maja 2015 r. Sala kameralna ROK ILO w Radzynie Podlaskim
	Uroczyste otwarcie Skweru Podróżników w Radzynie Podlaskim (21 maja 2015 r.)	
14.	Artur Orzech	„Wiza do Iranu” 17 września 2015 r. Sala balowa pałacu Potockich w Radzynie Podlaskim
	Wystawa fotografii pt. „40 lat SKKT PTTK nr 21 przy I Liceum Ogólnokształcącym w Radzynie Podlaskim” (17-30 września 2015 r.)	
15.	Romuald Koperski	„Syberia wzdłuż i w szerz” 4 grudnia 2015 r. PSM im. Karola Lipińskiego w Radzynie Podlaskim
16.	Elżbieta Dzikowska	„Tam, gdzie byłam” 15 marca 2016 r. ILO w Radzynie Podlaskim
	Wystawa „Kontynenty” prezentująca wybrane artykuły Elżbiety Dzikowskiej publikowane w tym miesięczniku (15-31 marca 2016 r.)	
17.	Nela Mała Reporterka	„Nela i tajemnice świata” 19 czerwca 2016 r. Szkoła Podstawowa nr 2 w Radzynie Podlaskim
18.	Arkady Paweł Fiedler	„Maluchem przez Afrykę” / „Maluchem przez Azję” 21-22 listopada 2016 r. MBP w Radzynie Podlaskim Sala widowiskowo-kinowa ROK
19.	Marek Kamiński	„Trzeci biegun” 6 lutego 2017 r. Sanktuarium MBNP w Radzynie Podlaskim
	Projekcja filmu dokumentalnego „Pielgrzym. Camino Marka Kamińskiego” w reżyserii Jana Czarlewskiego.	
20.	Jacek Pałkiewicz	„Dubaj. Prawdziwe oblicze” 7 maja 2017 r. Sala konferencyjna UM w Radzynie Podlaskim
	Wystawa karykatur Przemysława Krupskiego z okazji 5-lecia „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami” (23 czerwca - 21 lipca 2017 r.)	

21.	Tomek Michniewicz	„Świat równoległy. O tym jak bardzo wierzymy w fikcję” 18 września 2017 r. ILO w Radzynie Podlaskim
		Premiera książki „Radzyń Podlaski miejscem światowych spotkań” wydanej z okazji 5-lecia „Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami”
22.	Piotr Pustelnik	„Ja, pustelnik” 17 listopada 2017 r. MBP w Radzynie Podlaskim
		Spotkanie z Marią i Przemysławem Pilichami, autorami książki „Wielcy polscy podróżnicy, którzy odkrywali świat” (24 stycznia 2018 r.)
23.	Marek Fiedler	„Mała wielka Wyspa Wielkanocna” 22-23 marca 2018 r. Sala parafialna przy kościele Świętej Trójcy Sala widowiskowo-kinowa ROK
		Wystawa fotografii i slajdowisko Dariusza Czerniaka pt. „Tybet. Wokół Świętej Góry Kajlas” (16 maja 2018 r.)
24.	Szymon Radzimierski	„Etiopia. U stóp góry ognia” 3 czerwca 2018 r. Szkoła Podstawowa nr 1 w Radzynie Podlaskim
		Konkurs plastyczny „Podróż moich marzeń”
25.	Marek Niedźwiecki	„Australijczyk” 23 września 2018 r. Sala widowiskowo-kinowa ROK
		Spotkanie z Anną Kamińską, autorką książki „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci. Historia Wandy Rutkiewicz” (15 października 2018 r.)
26.	Aleksandra i Karol Lewandowscy	„Busem Przez Świat. Alaska i Kanada” 9 listopada 2018 r. Sala kameralna ROK
		„Bajkał tam i z powrotem” 13 lutego 2019 r. Filia nr 2 MBP w Radzynie Podlaskim
27.	Monika Radzikowska	Warsztaty podróżnicze dla dzieci pt. „Zrozumieć świat”
28.	Robert Makłowicz	„Świat na widelcu” 26 maja 2019 r. Sala widowiskowo-kinowa ROK

Spotkania nr 1-24 zostały zaprezentowane w Radzyńskich Rocznikach Humanistycznych z lat 2013-2018 (tomy XI-XVI).



www.podroznik-radzyn.pl
www.facebook.com/radzyn-spotkania